

CZY WIES CZYTA „WIES”? — wypowiedzi J. JELONKA I W. WOROSZYŃSKIEGO.
W. BORTNOWSKI — 300-lecie powstania Chmielnickiego.
CZ. SCHABOWSKI — Wyjaśnia się wiele spraw. J. KRAUSOWA — W nadmorskiej świetlicy.
N. DRUCKA — Najpoczytniejsza książka na wsi.
ST. ZIEMAK — Gdy zagrzmiaty dźwięk pod Sandomierzem.
ST. KRAKOWIAK — Radio wojewódzkie i terenowe radiowizje.
G. TIL. OFIEJEW — Kronika radziecka.
H. DUNINOWNA — Pierwsi czytelnicy.
Z. KLEJN — Na nowym etapie.
W. MISIUNA — Doświadczaństwo.

WIES

tygodnik społeczno-literacki

Rok XI

Warszawa, dnia 10 stycznia 1954 r.

Nr 2 (440)

Niech rozgorzeje dyskusja

WACŁAW KOSBUCKI

Z dyskusji nad Tezami Przedzjazdowymi

W mojej wsi

UWAGI O PRACY AKTYWU

Za czasów sanacyjnych nikt chłopu czy robotnikowi nie pytał, w jaki sposób polepszyć jego byt. Nie mieliśmy wtedy prawa mówić o tym, że z każdym rokiem było nam coraz gorzej z braku pracy.

Pamiętam: w latach 1932 — 1936 na terenie woj. krakowskiego, kieleckiego, rzeszowskiego i w innych rodzinnych stronach w gm. Jarocin pow. Nisko — chłopci strajkowali; urządzali pochody do punktów zbrojnych i wiecie, na których z trybun wiciowych komunisti i radykalni działacze ludowi domagali się od rządu sanacyjnego: chleba, pracy, szkół dla dzieci, potępiając rząd obszarników i kapitalistów. Na taką dyskusję rząd sanacyjny odpowiadał obywatelom kraju strzałami, pałkami policyjnymi, pacyfikacjami, długoletnim więzieniem. Krwawa była dyskusja między rządem obszarników i kapitalistów, a wzywającym ludem.

Czasem i przed wojną odbywały się zjazdy chłopskie; ale tam, gdzie chłopci chcieli otworzyć i szerzej radzić nad swoim bytem, musieli brać ze sobą dobre pały lub kłoty, aby móc się bronić przed najeźdźcą granatowej policji. Takie rewolucyjne dyskusje chłopskie prawie zawsze kończyły się rozlewem krwi i śmiercią działaczy. W r. 1936 w mojej rodzinnej gminie Jarocin policja nastawiona przez panów Potockich zabila kilku chłopów, strzelając do strajkujących.

Dziś w 10-lecie utworzenia Polski Ludowej nasza Partia i nasz Rząd zapraszają braci chłopów razem z robotnikami do wielkiej dyskusji przed II Zjazdem Partii. Chłopi nawet z zapadłych wsi jadą do Warszawy i do miast wojewódzkich na różne narady i dyskusje z centralnymi władzami. Bo nasz rząd radzi się nas, w jaki sposób gospodarzyć, aby było nam coraz lepiej żyć, aby było pod dostatkiem chleba i wszystkich dóbr dla wsi i miast.

W wielkiej dyskusji przedzjazdowej ważną rolę musi spełnić aktywność polityczną i kulturalną na wsi, ludowa inteligencja wiejska. Aby podjąć temu zadanie, musi ona wiedzieć, jak pobudzić inicjatywę mas.

Kiedy spotykam się z chłopami, często jestem przez nich zapytany o różne sprawy. Jakby to wyglądało, gdyby nie miał odpowiedzi ludzom na ich pytania?

Kilka dni temu byłem w gromadzie Ryszewo (koło PGR w Ryszewie) u sołtysa Józefa Strzelskiego. Do brzo to gospodarz. Na marginesie dyskusji o uchwale Rządu opowiedział mi o przedzjazdowych godzinach naszej gromady, ob. Adamieńko i Zwirko. Chcieli się oni ze mną zobaczyć i podyskutować na temat rozwoju hodowli w gospodarstwie indywidualnym w świetle tez.

A. mają osiągnięcia nie lada jakie!

Michał Adamieńko, 64-letni gospodarz, jest hodowcą z zamiłowania. W r. 1953 wyhodował 10 tuczników.

Około 15 q ogólnej wagi sprzedał państwu, chociaż ustalony dla niego plan odstawy opiewał na 2,5 q. Adamieńko przekroczył plan 6-krotnie! Kontraktuje on także uprawy polowe — niemal wszystkie rośliny przemysłowe: len, rzepak, buraki. Jeszcze starszy wiekiem, bo 74-letni Bronisław Zwirko nie ustępuje swojemu sąsiadowi. Na 5 ha ziemi kontraktuje wszystkie rośliny przemysłowe i hoduje dwie krowy z przychodkiem, oraz konia i kilka sztuk tuczników. Sołtys z radością opowiadał mi o tych dwóch rolnikach; dają oni przykład całej wsi, jak gospodarzyć z korzyścią dla siebie i państwa. Pod wpływem ich osiągnięć w gromadzie toczy się dyskusja nad tezami IX Plenum; jej wynikiem jest już gromadziński plan, sformułowany w zobowiązaniu przedzjazdowym. Cała gromada zobowiązała się podnieść hodowlę bydła i trzody chlewnej o 25 proc. w stosunku do 1953 r., to znaczy: na 20 gospodarzy w Ryszewie jest obecnie 60 szt. bydła, a przy końcu 1954 r. będzie 100 sztuk dojnych krów. Oprócz tego gromada rozwinię uprawę okopowych, buraków pastewnych, brukwi, marchwi oraz rozpoczęła pielęgnację lasu, aby uzyskać więcej leśnej paszy dla powiększonego inwentarza.

Adamieńko i Zwirko pobudzili gromadę do dyskusji i użycia planu całej wsi. Produkcję praktycy stali się działaczami.

Przykład ten mówi o tym, że w każdej wsi istnieje potencjalne kadrę. Trzeba tych produkujących praktyków wyłowić, zachęcać i przekonywać, aby stali się organizatorami i działaczami życia gromady.

Franciszek Śnieg

PGR — Smardzewo, pow. Sławno

O przebiegu materialów z IX plenum, zdaje sobie sprawę, jako korespondent i aktywista terenowy powinien ciągle podnosić świadomość o życiu i polityce partii, by lepiej rozwiązywać w praktyce wiele trudnych spraw w stosunkach między ludźmi. Moje samodzielnienie polityczne powinno iść w dwóch zasadniczych kierunkach: pogłębienia i rozszerzenia wiadomości z zakresu wiedzy rolniczej, aby móc dostrzegać rezerwy gospodarcze i wskazywać chłopom na ich wykorzystanie oraz w kierunku pogłębienia wiedzy politycznej o ideologii Partii, o jej taktyce i strategii, a więc i w jej taktyce i strategii w gminie w stosunku do kulaka, średniaka, biedoty, o sojuszu robotniczo-chłopskim, jako podstawie wychowania nowego człowieka — człowieka pracy i walki. Zadanie niełatwe. Przekonałem się, że jeszcze niewiele w tym kierunku zrobiłem. Przekonałem się też, że wielu aktywistów nawet na szczeblu powiatu nie tylko nie usiłuje coś więcej w tym kierunku zrobić, lecz wręcz lekceży sobie niektóre formy samokształcenia.

Byłem niedawno w Komitecie Powiatowym ZSL w Bartoszycach. Spotkałem ob. Kasprowicza z gm. Dąbrowa — przodownika hodowli i uprawy; sprzedał on państwu 15 q rzepaku, a przez gminę został podany do kłemu orzekającego przy Prezydium PRN, jako zalegający 3 q zboża, choć obowiązkową dostawę zrealizował przed terminem i ponad plan. Był tam również tow. Frankowski — korespondent „Głosu Olsztyńskiego”, który chciał zebrać materiał zjazdu chłopów ZSL-owców.

Kol. sekretarz komitetu już na wstępie zaskoczył mnie pytaniem: — Dlaczego, kol. Kosobucki, nie piszecie obojętnie do prasy?

— Chyba kol. sekretarzu nie czytacie prasy — odpowiedziałem.

— Ech, Kosobucki — mówi sekretarz — wy piszecie to, co przeczytacie w książkach. Co prawda nie każdy potrafi to zrobić, bo nie każdy książkę czyta i nie zawsze zrozumie jej sens polityczny.

— W tym jest sedno sprawy, kol. sekretarzu! Nasz aktyw gminny, czy powiatowy za mało czyta dobrzych, bojowych książek, które mogłyby mu pomóc w pracy politycznej. Za mało uczestniczy w IV etapie konkursu. I dlatego jego poziom polityczny często prowadzi go do niezrozumienia ludzi i procesów w psychice chłopów, jakie następują pod wpływem zmieniających się warunków bytowych i społecznych.

Jest to przecież bardzo istotna sprawa w realizacji wskazań IX Plenum. Od tego jak politykę partii wprowadzi w terenie aktyw — także i aktyw kulturalny — zależy powodzenie ekonomicznych i społecznych przeobrażeń terenu. Aktyw polityczny nie może stać na uboku rewolucji kulturalnej, nie może jej pozostawiać tylko nauczycielowi lub kierownikowi świetlicy, ale musi politycznie kierować jej przebiegiem. Często niełatwo jest zdmaszkować kulaka i jego plotkę. Formy indywidualnego wyjaśniania mi zawsze skutkują; na zebraniach mało atrakcyjne chłopie nie przychodzą. A przy pomocy form pracy kulturalnej jak gazetka, czy też wiersz satyryczny można oświecić i wyszydzić głupotę wroga.

U nas, na Ziemach Zachodnich kulak i jego popleczyk twierdzą, że gdyby wróciły się porządky przedwojenne, chłopie mieliby po 7-8 sztuk bydła i znacznie więcej zboża. Teraz — mówią oni — nie opłaca się więcej siał, ani lepiej dbać o gospodarstwo, bo cena za towary rolnicze jest za mała.

Niedawno byłem w Bartoszycach i pobierałem za 19 arów plantacji buraka cukrowego 100 kg cukru, 900 zł gotówką i 214 kg wysłodków. Ze mną był chłop ze wsi Dąbrowa nazwiskiem Mackiewicz, który za plantację 15 arów też pobierał należność. On jednak twierdził, że buraków nie opłaca się hodować, bo za mało za nie płać. I tu znalazła odbicie wroga plotka. Ale nie tylko to. Tenże Mackiewicz 20 listopada dał się też okpić kulakom.

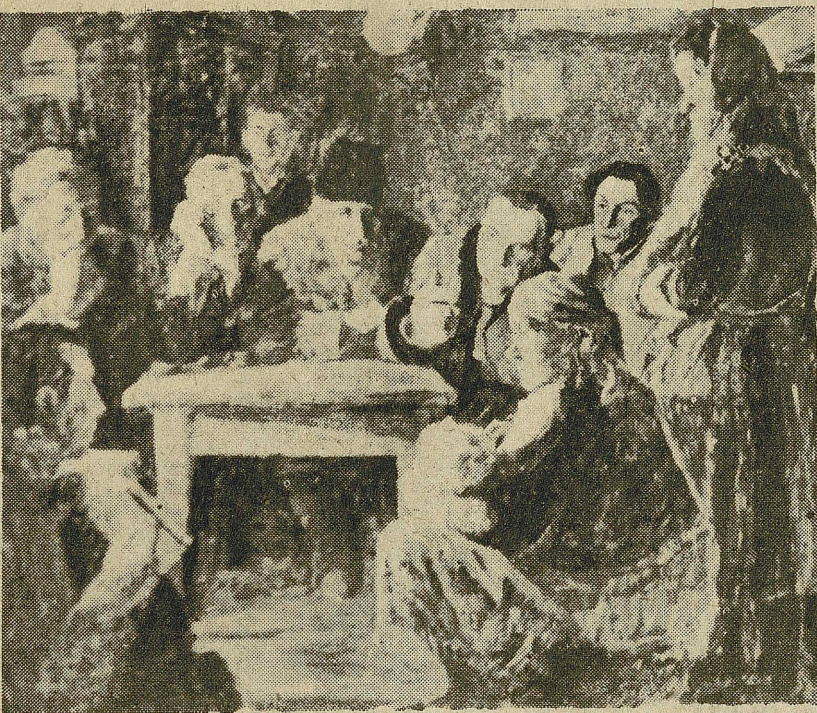
Wyhodował wiewprza 300 kg żywej wagi, zamierzał go zakontraktować w gminnej spółdzielni, ale posłuchał kulaków, że się to niby nie opłaca, że lepiej na rynku rąbanek sprzedać. Tak też chłop zrobił i co się okazało? W ostatecznym rozrachunku Mackiewicz stracił na wiewprzu ni. mniej ni. więcej, tylko 1200 zł.

Czy nie konieczna tu była agitacja aktywna, i to agitacja od strony kultury dla wyzwolenia średniaka spod wpływu kulaka? Agitacja rozwinięta w Mackiewiczu świadomość człowieka pracy rzetelnej, bez paskarstwa, pragnącego zarobić na swych produktach.

Takich chwiejnych Mackiewiczów mamy w gminie wielu. Bogacze, co wzdychają do czasów przedwojennych, kiedy mieli swobodę wyzysku siły najemnej, powiadają teraz obłudnie: „Żeby nie te diabelskie plany, chłopie by zasiał

Może to i prawda, ale nie tak, jak to oni widzą. Ja walczę rzeczywistość nie o ilość spółdzielni, lecz o ich jakość i pełnowartościowość. Jestem zdania, że tam gdzie nie ma jeszcze do tego warunków, nie należy myśleć o założeniu spółdzielni, ale prowadzić dobrą pracę polityczną i kulturalną z chłopstwem indywidualnym.

Brak tej pracy często jest spowodowany niewyrobieniem i brakiem odczytania aktywności gminnej i gromadzkiej. Śledząc głosy w dyskusji na IX Plenum zastanawiałem się



Mal. J. Ponomorski

tytuł, ile mu na przeżycie potrzeba; inwentarza by trzymał też byle dla siebie i na podatek...

Kulak często żuździ biedniaka przeciw władzy ludowej szepcząc: „Widzisz! Bogatemu zawsze lepiej. Nam państwo najpierw idzie z pomocą, bo państwo od nas więcej ma korzyści; my więcej dajemy zarobić na towarach odzieżowych, na obuwiu. A ty biedniaku co kupujesz? Tylko płacisz i płacisz...”

Trzeba widzieć w postępowaniu chłopów dwie tendencje. Opowiem wam o jednym charakterystycznym wydarzeniu, na które aktyw gminny też nie umiał dobrze zareagować.

Przy końcu listopada przybiegał do naszego sołtysa Chmielowski gospodarz Borys; prosi, abymy szli, jako świadkowie, w sprawie wysokości odszkodowania. Okazało się, że Borys zajął na swej gminie 13 sztuk bydła spółdzielczego. Spółdzielcy przyszli, chce on więc teraz ustalić wysokość szkody.

Byłem — powiada — w K.G. i sekretarz powiedział mi, że bym nie oddawał bydła, póki mi nie zapłacą tyle, ile zażadam.

Zdziwiło mnie takie stanowisko sekretarza. Bydła przecież nikt nie ma prawa przetrzymywać — i to 13 sztuk, w tym parę młodych cielaczków. Spółdzielców też „wyzyskiwać” nie można, tym bardziej, że ziemia zmarznięta i szkody w życie krowy nie wyrządziły prawie żadnej. Dobry gospodarz sam powinien kosić, czy spasać rui.

Powiedziałam to Borysowi. Przyznał mi rację, ale krowy szybko nie oddał; jeszcze targował się ze spółdzielcami. Toteż do następnego dnia stały one w ogrodzeniu zmarznięte i nie nakarmione.

Musimy karcować tę starą zachłanność. Musimy uczyć ludzi społecznej solidarności.

Niektórzy aktywiści gminni zarzucają mi, że jako korespondent, który powinien te sprawy dobrze rozwinąć, za słabo walczę o spółdzielczość.



Mal. H. Krajewska

wie zboża wlecie się w ogonie. I jak można w takiej gromadzie zakładać spółdzielnię jeśli w dodatku robi się błędy w stosunku do dobrzych, rzetelnych gospodarzy zniechęcając ich do sprawy!

W Smardkach był sołtys ub r. Henryk Strzedziński. Siał rzepak w ramach konkursu oraz buraki cukrowe; udzielał się w pracy społecznej i miał poważanie u ludzi, choć był jeszcze chwiejny i niezdecydowany. Trzeba go było tylko uaktywnić, do końca przekonać. Tymczasem gdy Strzedziński nie zapłacił za czas podatku, skrytykowan go, jak „obuchem po głowie” przez radiowców w Bartoszycach, zaliczając od razu do wrogów. Była to krytyka nie pomagająca, a przekreślająca człowieka. Chłop rzucił sołtysostwo i odsunął się od pracy społecznej.

Z wydawaniem ostatecznych wyroków „to wrogi!” musimy być w pracy terenowej bardzo ostrożni. Wiele złego przynosi pochopność niektórych działaczy. Trzeba głębokiego zastanowienia i niezłoty doświadczenia, aby ustosunkować się do mało- i średniorolnego, jak do wroga. Jeśli tak ustosunkujemy się do człowieka uczciwego wewnątrz, ale chwiejnego, wtedy tracimy go i popychamy właśnie w ręce wroga. Fakt, że sprawa sołtysa na pewno złe wpłynęła na rozwój spółdzielni.

Przy okazji opowiem o średniaku Mackiewiczu. Przybył on spod Pultuska. Mackiewicz, dawny formal, osiadł na średnim, dość zubożonym gospodarstwie, przywołując z sobą 6 dzieci a wśród nich czworo dorosłych. Szybko się zagospodarował. Konie miał dobre; pole najlepsze we wsi; rodzinę do roboty dużą. Zna — dobra gospodyn, trzymała około 100 sztuk drobiu; jarka kontraktowała w GS. Stary Mackiewicz na pierwszy rzut oka wygląda na kulaka. Takiego z gazety. Kiedy włożył francuskie błyszczące cholewy, schludny garnitur i okulary na nos — to już wykapany kulak z ilustracji! Tak też okrzyknął go aktyw społeczny, a szczególnie Karpiński, członek partii, dawny sołtys, sąsiad Mackiewicza.

Nie mógł mu nic konkretnego udowodnić, bo Mackiewicz gospodarzył dobrze, jak wskazywała Partia, tak aby nasz chłop i państwo mieli korzyść. A Karpiński nie zajmował się gospodarką, tylko pijatyką; przehandlował konie i krowy, narobił długów po uszy i wciągał do tego innych, m. in. Malachowskiego, Suskę, Rudkowskiego, Brodę, Bajerowicza. Karpiński nie dochował się niczego, często zarzucał zdrowe cielaki, młode prosiaki — całkiem nie po gospodarstwu.

Tak więc z jednej strony marnotrawił swą gospodarkę, której wzorowe prowadzenie było przecież jego patriotycznym obowiązkiem, z drugiej zaś przyjmował „patriotyczną” postawę w walce z „kulakiem” Mackiewiczem.

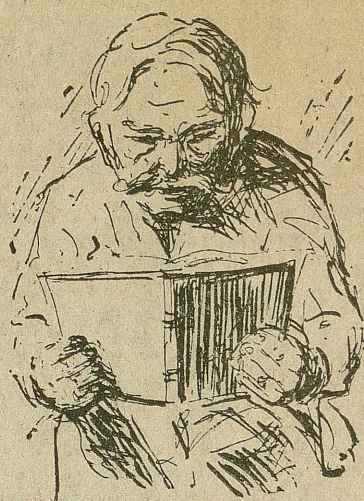
Karpiński lubi „rąbać” krytykę. Ale ta krytyka nie jest twórcza, nie pomaga ludziom, hamuje ich rozwój, nie rozwija ich inicjatyw, natomiast utracą każdy wysiłek. Tak było i z Mackiewiczem. Nie chcąc zostać kulakiem, zahamował w gospodarce możliwości rozwijania hodowli, zatrzymał tylko jedną krowę i jałowkę. Zbiegło się to z opuszczeniem domu przez córki, które pochyliły się za męża. Teraz Mackiewicz jest niemal sam. Tak „uniknął kulactwa”.

A kultura ten człowiek żywo się interesuje: prawie co sobota idzie do kina i na zebrania; spółdzielni produkcyjnej się nie boi, tylko powiada: „Jak wszyscy rozumieją, że innej drogi nie ma, wówczas i u nas będzie spółdzielnia mimo złych warunków w gospodarce”. Dobrze, że przeciwności i niesumienna krytyka nie zlamaly Mackiewicza; ale zaszkodziły one na pewno gospodarce, jej wydajności.

Te uwagi pod adresem aktywu chcę poddać pod dyskusję przed II Zjazdem. Nie wiem, czy we wszystkich sprawach mam słusznosc. Jedno wiem na pewno: musimy się wszyscy, szczególnie aktyw polityczny i kulturalny, dużo i gruntownie uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć. Dobre książki i dobre świetlice pomagają aktywowi zrozumieć różne sprawy, a w tych sprawach — główną: człowieka.

Wacław Kosobucki

wieś Łabędziowo, pow. Bartoszyce



Powyższe rysunki wykonał JÓZEF NYKIEL, młody rysownik, którego prace umieszczaliśmy już niejednokrotnie w naszym piśmie. Tym razem rysunki jego pokazują kilku najbliższych jego sąsiadów ze wsi Szówsko w powiecie jarosławskim, uchwycionych w momencie czytania i dyskusji Tez Przedzjazdowych. Szkieletami swoimi Nykiel pragnął pokazać i wyrazić uczucia swojej rodzinnej wsi, biorącej czynny udział w kształtowaniu nowego życia ziemi rzeszowskiej.

HELENA DUNINÓWNA

PIERWSI CZYTELNICY

(Fragment opowiadania)

CHŁOPIEC i dziewczyna stali naprzeciwko siebie. Dziewczyna trzęsła się ze złości.

— Zapisz się! zapisz się! — zapisz się! — powtarzała coraz szybciej i głośniejsze.

— Nie, nie zapiszę się! nie zapiszę się!

Chłopiec miał zacięte usta.

Głos dziewczyny wznosił się coraz wyżej. Policzkę jej pałały, oczy ciskały iskry.

Skrzypnęły drzwi.

— No i co? — jeszcze się kłóci- cie?

Głos, choć wyjątkowo niski, był przyjemny. Miał naprawdę zupeł- nie młode, miłe, ciepłe brzmienie, pomimo że kobieta... no tak... co tu ukrywać: przekroczyła już siedem- dziesiątkę.

Siedemdziesiąt dwa lata, jak obszył — mówiła nieraz i uśmie- chała się po swojemu, z żartobliwą pogodą — ale, widzicie, jeszcze ja- kós daje radę. Spróbujcie tylko, plecak wcale nie taki lekki...

I teraz na swoich przgiętych plec- ach — to był najbardziej widocz- ny rys jej późnego wieku — dźwi- gała plecak potężny, wypełniony aż po brzegi, pękaty.

Dziewczyna milczała; chłopiec, który już miał rzucić swoje uparte „nie zapiszę się” — urwał w pół słowa.

— Daj spokój, Anka — powie- działa kobieta i znów się uśmiech-nęła. — Nikt jeszcze nie dobrego nie zrobił złością i krzykiem. Na wszystko przyjdzie pora, nie bój się. I nie bądź taka gorąca. A ty, Janek, dociągaj mi ten lewy rze- myk w plecaku, bo mi coś luźno. Janek pochylił się, podpierając ra- mieniem plecak.

— Ależ ciężki! — mruknął.

— A co ty myślał, że to pierze czy puch? Książki, chłopce, mu- szą mieć swoją wagę, bo w nich mądrość ludzka zawarta. Rozu- miesz? Ale to miły ciężar, dobry, krzywdy nie robi...

Wies była nieduża, było w niej

wszystkiego jakie czterdzięci cha- łup, ale rozwleczone, rozciągnięta wzdłuż tej niewygodnej, piaszcz- nej drogi bez żadnego rozsądnego planu; chata od chaty daleka, jak obcy człowiek od obcego człowie- ka. Toteż mało było między ludź- mi spójni. Ciągłe jeszcze trwała nad nimi zmora niedawnej przeszło- ści. Jeszcze nie odgięły grzbiętów po twardych okupacyjnych czasach, choć już przecie na czwarty rok wolności szło i już się życie na do- bre organizować i tworzyć zaczęło. Tutaj — mało co jeszcze z tego nowego życia docierało. Wies, jak to często na Podlasiu, daleka, za- gubiona w lasach; całe kilometry do kolei, a i do zwykłego traktu nie blisko. Drogi wyboiste, pełne piachu. Latem kopać się trzeba było przez ten piach; koń ledwie kopną- ty wyciągał z tej sypanki, skwar- nej kapieli, a kół wozów osiadały aż po same osie. A znów kiedy za- częła się listopadowa plucha — w istną topiel przemieniały się dro- gi, nie łączące bynajmniej ze swia- tem, ale wbrew swemu przezna- czeniu, niepodobnym do przebycia morzem błota dzielące od niego.

Ciągnęli ludzka, jak mogli, każ- dy dzień, ale nie lekko im było. I co się tu dziwić, że mało komu chciało się zachodzić do tej cha- łupy za zakrętem, gdzie bibliote- karka w swojej własnej izbie bi- blioteczny punkt prowadziła. Zapi- sało się na czytelników ze dwudzie- stu chyba ludzi najwyżej — i to przeważnie dzieci.

Niemalą się natroskała pani bi- bliotekarka, żeby jakoś zachęcić, na- mówić, przyciągnąć do siebie. Na „Silacze” — hodowała się przecież w młodości, nauczycielski miała temperament, choć już od dobrych paru lat na emeryturę poszła, ka- mieniem na sercu leżała jej ta ne- rychliwa do książki, zapuszczona wieś, jakże daleko jeszcze pozosta- zła w tyle za tymi, co od dawna szły już sparko szerokiemi, jasny- mi drogami nowego, polskiego życia.

Jedyną prawdziwą pociechę mia- ła pani bibliotekarka z Anki. Go- rąca była z Anki dziewczyna, to- też polubiwszy książki, ani się spo- strzegła jak i innych zapragnęła od nich przyciągnąć. Rzuciła się do tej roboty z pasją, z zawziętością, ale najczęściej natrafiała na niechętny opór, na tępa obojętność albo na złośliwą przekorę — i złość ją po- nosiła. Z takim Jankiem na przy- kład. Razem przecież ukończyli te siedem klas w podródkowej szko- le, razem na jednej ławce siedzieli, razem codziennie do tej szkoły ta- ki smat drogi biegli i koleżeńskie zawsze było między nimi dobre. A tu, z tymi książkami, nie poradzi- nie mogła. Nie nie! Aż dziw, że taki sprytny, niegłupi chłopak wca- le czytać nie lubi. Prawda, że ro- boty ma przy gospodarstwie dużo, bo ojciec już stary, a i matka nie- młoda, ale niech tylko zdybkie wol- na chwilę — na pilkę z chłopakami, do pływania na rzekę, albo do swo- ich ulubionych pszczoł się zabiera.

Hodował sobie Janek te stworzo- nka z upodobania, po amatorsku, nie bardzo umiejętnie, to prawda, ale z ciekawością, z zainteresowaniem. Niedużo tam tego miodu zbierał, ale zawsze coś niecoś co roku kap- nęło, nieraz Ance, tak, po koleżeń- sku, zdziękko takiej słodczy przy- niosł.

*) Tytuł opowiadania Stefana Żerom- skiego.

— Nie smaczniejszy to on od

książek? powiedz, Anka, nie sło- dzy? Większy ja mam pożytek z moich pszczołek niż ty z twojego czy- tania, na pewno! A Ankę już złość chwytła. Ząb za ząb się z nim kło- ci, aż ją pani bibliotekarka, gdy taką kłótnię usłyszy, hamować mu- si.

— Nie bądź taka gorąca, Anka — powtarza po swojemu — nic zło- ścią nie zwojujesz...

Idzie pani bibliotekarka wielkim

krokiem przez łąki. Wąziuchna, wy- deptana w zyzak ścięzyna, prawie niewidoczna pośród wysokiej trawy, mokra. Jesienne, blade już nie- bo bez chmurki, bez obłoczka. Pa- chnie przestrzenną, wilgotną, trawą, mięgą. Łąka dokoła, jak duże, wez- brane, spokojne morze. Tak jak to o jesieni: popielata pustynność osy- pujących się traw, twarde paleczki tymotki, na wątlach gałązekkach torebekki żołciutki, suche, chrzęsz- czące, nasienne. A gdeniegdzie przybladły już trochę dzwonek li- lowy, jeszcze mocno żywe, dwuko- lorowe bratki, drobne gwiazdki bia- łych rumianków, które jeszcze nie- wiedz. Bogato rozkwitły się osty, pachną miodem. Po pas chyba się- gają trawy.

Ot, jak pięknie! Świat szeroki, bujny, pachnący — bogaty świat. A tam, za tą szeroko rozlaną łą- kową urodą — wioszczyna przycup- nięta, uboga, spracowana, nieweso- ła. I nawet się w tej urodzie swia- ta rozeznac nie umie, nawet jej nie dostrzega. Na co jej ta uroda? po- co? Jeszcze może da? reką pozwoli choć na moment wypocząć.

Pani bibliotekarka patrzy wkoło,

potrząsa głową, rozważa coś, medy- tuje.

— A przecież można by chyba z tej urody nie tylko radość mieć dla oczu i ten oddech pachnący dla ust — myśli. — Takie łąki — toż to istne bogactwo! Dobrac się do nich, zastanawiać co trzeba, jakieś tam melioracje, dreny, czy jak tam... no, wszystko co tam specjalnie po- trafia... hodować jaką bogatą zaprow- adzić... A jak ludziska pożytek pocują — to i urodę dojrz... jed- no za drugim... Tylko jak?

Pani bibliotekarka malutkie ma

miejsce na świecie, ale czy z tego malutkiego miejsca nie widać wiel- kich, dalekich, szerokokich dróg — jeżeli tylko umie się i chce się pa- trzyć?

I czy na tym malutkim, skrom- niutkim miejscu nie można swoją drobną, codzienną pracą choć trochę pomóc wielkiej, ogromnej sprawie?

— Jak ja zaczęłam od swojego — myśli — to już tam ktoś inny, mą- drzejszy ode mnie, do ostatniego „z” doprowadził...

Do Mireckich zaszła sobie ot tak,

niby tylko przechodząc. Na chwi- łą, bo zmęczyła się i chciała trochę odpocząć.

— Przysiadła tylko na momentek, nie przerywając sobie, moja Mi- recka, plecak tylko odepne, bo mi ciężko i zaraz do domu, późno już. Pani bibliotekarka sprawnie odpie- ła rzymski i zsunęła plecak na po- dłoże.

— A co tam u was słychać? Jak tam Zosia? Czyży się dobrze?

Trzeba było tylko o te najzwy- klesze sprawy potrącić, żeby za- częła się gawęda. Wzycyżana, bez żadnego planu, ot tak sobie, o wszystkim. Trochę o dzieciach, tro- chę o gospodarstwie, o sadzie, że ja- błonki w nim jeszcze takie młode, a przecież już wcale nieźle owocują, no i o tych ulach, co całym rządkiem, niedaleko od chaty w sadzie stoją.

— Jak się wam pszczoły chowa- ją? A dużo macie miodu? Sprze- daciecie może? Ale zachodu przy tym i roboty ot musicie mieć co niemiara, prawda?

Mirecka ożywiła się, odłożyła na- wet nóż, którym obierała ziemnia- ki i wytarła ręce. Znać było, że te pszczoły — to jej ulubienice. Za- częła opowiadać i to i owo, i tam- to i dziesiąte, a z tego opowiadania okazało się, że ma w tej swojej ho- dowli nawet i trochę kłopotów.

A może pani bibliotekarka coś o tym słyszała, dużo przecież musiała po świecie bywać, bo i lata swoje już ma i doświadczenie...

Pani bibliotekarka schyliła się i

odpieła plecak.

— Zaraz sprawdzimy. Mam tu ta- ką jedną książkę o pszczołach, le- piej zajrzeć, bo ja przecież nie spe- cjalistka, to się mogę omylić...

— O, tu właśnie piszą o tym. Po- słuchajcie, sama jestem ciekawa, czy miałam rację.

Mirecka słucha. Słowo w słowo tak, jak pani bibliotekarka mowi- ła! Akuratnie tak samo! I nawet więcej! Mirecka kręci głową i nie spostrzega nawet, że książka jest

już w plecaku i że ręce pani bi- bliotekarki już majstrują coś przy

zapięciu.

Kobieta waha się. Chce widać coś

powiedzieć. Wyciąga rękę i cofa.

— A pani... a pani by sobie nie

krzywdowała... żebym ja tę ksią- żeczkę, na kilka dni u siebie za- trzymała? Słabo czytam, ale za- wsze pomaleńku potrafię, a i Zosia

przecież pomoże... to bym już lepiej

wiedziała, jak tam z tymi pszczo- łkami... tak akuratnie w niej pisze,

że tylko przeczytać...

— Ale pani bibliotekarka namyśla

się, nie odpowiada od razu, jakby

nie miała chęci. Mirecka wisi wzro- kiem na jej ustach.

— No tak... — mówi wreszcie — ale, widzicie, ja mam tylko jedną taką książkę... a jak ktoś drugi bę- dzie jej właśnie potrzebował?

— Moja paniusiu! — przeraża się kobieta, — ale ja przecie pierwsza! I ja przecie uli mam we wsi naj- więcej! Zostawcie mi ją! Ino na parę dzionków!

W głosie jej brzmi gorąca prosba.

Pani bibliotekarka ociąga się z

odpowiedzią.

— Widzicie... tak... No, ostatecz- nie, zostawiłabym... ale odnieściecie mi niedługo? na pewno? — pyta wciąż jeszcze wahając, choć jej

bystre oczy aż się pałą z uciechy

pod szerokimi brwiami.

— Odniesie, odniesie, — zapewnia

gorącą Mirecką. — Tylko przeczy- tam, zarutko odniesę!

Mirecka chodzi po wsi, dumna jak

paw. Z którąkolwiek z kobiet za- trzyma się na gawędę, ot, taką zwykłą, sąsiadką, zaraz skierowuje na swoje. Niby przypadkiem, mimo woli, tak jakoś nęchaczy — zaha- czy o pszczoły. A potem — to już jej się usta zamknąć nie chcą. I o budowaniu uli, i o karmieniu, i o podmiataniu i o chorobach. I na wszystko wie jak zaradzić, jak po- móc, jak zaleczyć.

— Mirecka, bójcie się Boga, a skądże wy taka uczona? — zdumie- wa się sąsiadka i oczy na Mirecką wytrzeszcza.

— A skądżeby, — mówi Mirecka, niby to lekceważąc i nawet ramio- nami wzrusza. — Wiadomo, z ksią- żek.

— Musi jakaś bardzo dobra książ- ka... — zamyśla się sąsiadka...

— A skądże ona do was przy- szła? — pyta po chwili.

— A żebyście wiedzieli, że przy- szła, sama przyszła! Od pani bibli- otekarki nóg dostała...

— Mirecka pszczoły mieć teraz

będzie na sto procent — opowiada- ła potem po wsi sąsiadka. — Z książek się, widzicie, nauczyła. Do- bra rzecz, taka książka — powtarza słowa Mireckiej, niby swoje. I tak się zaczęło.

Coraz więcej w zeszytach nazwisk

i coraz więcej numerów. Oczy An- ki błyszczą radością. Siedzi właś- nie za stołkiem i starannym, okrą- głym piśmem przepisuje je do no- wego, grubego zeszytu.

Zajęta jest tak, że nie słyszy, kie- dy otwierają się drzwi i dopiero, kie- dy na stołek pada jakiś cień — podnosi oczy.

— Ty? — dziwi się.

Posprzeczali się przecież z Jan- kiem na dobre i gadać ze sobą nie chcieli. Nauragała mu Anka po swojemu, z rozpędą, jak się patrzy.

— Pani bibliotekarki nie ma? —

pyta Janek sucho, jakby obcy.

— Na randkę poszła — odpala

Anka.

— Ty, Anka, nie wylupiaj się —

mówi chłopiec — kiedy wróci?

— Kiedy zechce, to wróci. A ty

po coś tu przyszedł?

— Nie twoja rzecz. Do pani bi- bliotekarki mam interes.

— A to sobie czekaj!

— Psia ich! — wybucha nagle

chłopiec.

— Psia ich z tą starą Mirecką! Chodzi baba po wsi, napuszone jak ten indor i gada, co jej ślina na język przyniesie. Mądrała taka, uczona! Do pszczoł moich się przy- cępiła! Nie tak, powiada, synku, źleś ule ustawił, obróć je, bo ci pszczołki na zwieszne uciekną i strą- tę będziesz miał...

— Lepsza ja pasieczniczka niż ty — mówi — i z pszczołkami lepiej się ja obchodzę i miodek mieć bę- de sytniejszy... — Janek przedrzeź- nia cieniutki głos Mireckiej — bo ja na książkach uczona, a ty nie, cho-

ciażes młody i już po szkole... I

jeszcze przy chłopkach gada, jak- by naumyślnie, jak na złość! Żeby się potem ze mnie prześmiewali!

— No i co? i co zrobisz? Cóżes jej odpowiedział? — Anka z zacie- kawieniem zapomniała o całej

obrazie. Odłożyła pióro, słucha z otwartymi ustami.

— Żeby się do mnie nie wtrąca- ła, bo u mnie jeszcze lepszy porzą- dek niż u niej, i że ja swoją ro- botę jeszcze lepiej znam niż ona. I że jak przyjdę na jej ule popa- trzyć — to na pewno takie coś u niej znajdzie, co nie powinno być i dokumentnie jej wtedy wygarnę —

wszystko, jak należy... I że przyjdę niedługo, na dniach...

— Niby kontrol taka? — Anka

wybucha śmiechem. Ale mityguje się zaraz.

— Ty, słuchaj — mówi poufnie — pani bibliotekarka ma tu w szaf- ce jeszcze inną książkę o pszczo- łach niż tę, co dała Mireckiej, grubsza, większa, to pewno z niej więcej się można dowiedzieć. Niech ci ona ją da, ty ją duchem prze- czytasz i potem starą Mirecką za- bajuczesz!

— Żeby tę starą Mirecką zakorko- wać! — wpada jej w słowa Janek porywczo, cały czerwony z podnie- cenia. — Tak na amen!

A potem nagle głos mu mięknie, robi się jakiś cichszy, nawet jakby

marzący...

— Żeby ja tak zakorkować — mó- wi tym marzącym głosem — żeby już ani słóweczka pisać nie mo- gła... i żebym ja jej mogła... żebym mogła... powiedzieć takie, o czym ona jeszcze nie słyszała... Co się tyczy pszczoł, oczywiście... No i gdzie ta twoja pani bibliotekarka? — pory- wa się nagle.

— Zarutko przyjdzie — przyja- cielsko już i powabnie uśmiecha się Anka.

— Zarutko! Z książkami na

wieści poszła... Usiadł sobie, Janek,

bo ja z pisaniem muszę skończyć.

Skrzypi stółówka po papierze. Je- den za drugim czernią się nowe

rzadki. Janek niecierpliwie kręci się

po izbie. Nie może się doczekać. Już- by chciał dorwać się do tej ksią- żki, żeby jak najprędzej pogłębić tę

pyssakową Mirecką, żeby jej po- kazać!

— Widać gdzieś bardzo daleko pa- ni bibliotekarka z tymi książkami

zaszła — niepokoi się w myśli. —

A może jeszcze prędko nie wróci? Sieniamnia się już, a droga niewy- godna do chodzenia, wolniutko pe- wno idzie po tym piachu... No cóż,

stara już przecie, a taki plecak z

książkami to porządnie ciężki... I

tak ma siły na podziw! A ja — to

bym z takim ładunkiem w mig przy- leciała! Niechby mi tylko spróbo- wała dać! — uśmiecha się sam do

siebie — i nikt by na mnie — my- śli już znów niechętnie — nie po- trzebał godzinami wyczekiwać,

wystawać...

Pokaże jej chyba kiedy tak, na

próbę, jak to się z takim plecakiem

chodzi, nie tak ślamazarnie, powo- łuśku... O, ze mną to byłby dopiero

księgonosie! nie to, co ona!

Janek kręci się po izbie, nie mó- że ustać z niecierpliwości; przysia- da, znów wstaje, podchodzi do szaf- ki.

Anka spogląda znad stołka; wi- dzi go, jak świdruje szafkę oczami.

Szybko pochyla się nad zeszytem i zdecydowanie macha pióro. Sta- ła się skrzypi głośno i uroczyście.

Janek odwraca się, podchodzi.

— A ty gapo! — Tak cię w szko- le pisać uczyli? Ma też pani biblio- tekarka kogo do pomocy dopu- szczać! Jakaś napisała moje nazwi- sko! O kreskowane przecież, ma- drało, o kreskowane a nie ul! Ener- gicznym ruchem odsuwa dziewczynę. Nachylił nad zeszytem w ru- bryce: „nazwisko czytelnika” pisze

zamaszystym piśmem: Jan Góra.

Helena Duninówna

LESZEK MECH

SOCHA

Drzewu odrąbany korzeń
Toporem albo mieczem
Boleśnie ziemię kaleczył.
Odciskami pokrywał ręce.

Pochylone barki człowieka
I ludzka zdobywca myśl
Dały ci kształt nietrwały.

Jesteś jak nuta daleka
Pieśni śpiewanej dziś.
Pieśni orzącej skały.

WIECZÓR NAD ODRA

Patrz, jakiś rybak wędziskiem słońce
W rzece zanurzył.
Fala, po której biegł błysk gorący,
Pieni się, chmurzy.

Na łodziach z prądem płynących gasną
Ryb łuski szklane.
Żaglowiec nocy wpływa do miasta
Przez mostu brame.

Wracają ptaki z lotów dalekich
Do ciepłych gniazd.
Przeprawia kłęścę na falach rzeki
Tabory gwiazd.



TADEUSZ HUSSAK

KSIĄŻKA W GMINNEJ SPÓŁDZIELNI

NIEDAWNO odbyła się w Warszawie narada sekretarzy wojewódzkich rad czytelnictwa i książki, poświęcona zadaniom rad w świetle uchwał IX Plenum KC PZPR. W dwudniowej dyskusji

wiele mówiono o pracy bibliotek i bibliotekarzy. Padły piękne przy- kłady pracy z czytelnikiem wiejs- kim. Ale o roli sklepów wiejskich w upowszechnianiu książki, jak i o działalności księgarń w miastach — mówiono bardzo mało.

Czym to można wytłumaczyć, że doświadczeni skądinąd działacze społeczni nie doceniają znaczenia sklepu wiejskiego, jako poważnego ośrodka w upowszechnieniu książ- ki? Jedną z przyczyn tego stanu rze- czy jest traktowanie sprzedaży książki, jako sprawy, która doty- czy tylko zainteresowanych przed- sięwzięciach handlowych. Nierazko jeszcze przedstawiciele „Domu Książki” i Centrali Rolniczej Spół- dzielni „Samopomoc Chłopska”, zwracając się do poszczególnych or- ganizacji czy instytucji o pomoc w rozprowadzaniu książki, spotykali się z uwagą: „Nie będziemy za- was robić waszych planów obro- tów”.

Wielu terenowych aktywistów pa- trzy na sklep wiejski wyłącznie ja- ko na punkt sprzedaży towarów pierwszej potrzeby, nie dostrzegając ich ogromnych i niewykorzystanych możliwości w szerzeniu zaintereso- wań kulturalnych.

Jesteśmy obecnie w najgorętszym okresie IV etapu konkursu czyteln- ictwa na wsi. Powiększająca się

ciągła liczba uczestników wskazu- je na to, że rosną na wsi szeregi miłośników książki, rosną potrze- by i wymagania wiejskiego czytel- nika.

Chodzi o to, by książka z punk- tów wyjściowych, jakimi są biblio- teki i sklepy gminnych spółdzielni, ruszyła do mieszkań chłopskich.

Się wiejskich punktów sprzedaży książki obejmuje swoim zasięgiem całą ludność wiejską. Prawie trzy tysiące sklepów gminnych i kilka- naście tysięcy filii gromadzkich po- siada w sprzedaży książki. Równo- cześnie coraz szerzej rozwija się wiejska sieć sklepów artykułów potrzeb kulturalnych — a więc ta- kich, gdzie książka zajmuje już do- minujące miejsce, a sprzedawca ma

większe możliwości, jej rozprowa- dzenia. Ilość tych sklepów oblicza- na jest już teraz na kilkadziesiąt, a w ciągu roku wzrośnie do 1400.

Szereg sklepów wiejskich ze sprzedaży książek osiąga poważne obroty. W województwie stalino- grodzkim ob. F. Nalepka — kierow- niczka sklepu potrzeb kulturalnych w Wojkowicach Komornych (pow. Będzin), wykorzystując dla sprze- dazy książek wszystkie jarmarki gminne, osiąga przeciętnie 15 tys. zł obrotu miesięcznie tj. sprzedaje około 3800 egzemplarzy książek. Ob. Neuman z Siewierza (

JAN JELONEK

„WIEŚ” PISMEM AKTYWU TERENOWEGO

W ubiegłym numerze zamieściliśmy wypowiedź Ludwika Maja, który zapoczątkował dyskusję z artykułem L. Bartelskiego pt. „Czy wieś czyta „Wies”, drukowanym w „Nowej Kulturze” (nr 46, rok 1953).

Obecnie zamieszczamy wypowiedzi naszych korespondentów: Jana Jeloneka z Porąbki (drukujemy ją z nieznacznymi skrótami, w całości zamieści ją zapewne „Nowa Kultura”, której Jelonek przestał ten sam tekst oraz Władysława Woroszyńskiego, dyrektora Liceum w Czudcu, znanego miczurinowca z Rzeszowskiego.

Pod koniec dyskusji, podjętej przez naszych czytelników, redakcja zajmie własne stanowisko.

W nr 49 „Nowej Kultury” w artykule „Czy wieś czyta „Wies”, Lesław Bartelski zamieścił ostrą, ale tylko częściowo słuszną krytykę tygodnika społeczno-literackiego „Wies”.

Czytam „Wies” już 6 lat, często od deski do deski. Analizując dzisiaj moje zainteresowanie artykułami tego pisma, przekonuję się, że „Wies” w dużym stopniu uzupełnia mi braki w innych pismach, które prenumeruję. A czytam tych pism kilkanaście.

I dlatego twierdzenie Bartelskiego, że po zwycięskiej walce z agrarizmem, „Wies” powinna była przemieść na emeryturę, poważnie mnie uraziło. Sądzę, że uraziło ono i wielu innych sympatyków i czytelników „Wsi”.

Jakież pismo na terenie wiejskim mogłoby zastąpić „Wies”, skoro sam Bartelski stwierdza: — „Brak jest bowiem pisma, które by — w sposób prosty, niedawkowy i przystępny — kierowało życiem kulturalnym wsi”.

Autor był się, twierdząc, że takiego pisma nie ma, — więc właśnie „Wies”, poprzez swoje artykuły pobudza działaczy do obserwacji, myślenia i wypracowywania własnego programu działania. Drukując wypowiedzi i korespondencje swych czytelników, umacnia ich przekonania i koncentruje wolę do dalszej walki i pracy o lepszą przyszłość swojej gromady, czy okolicy.

Pisze Bartelski: „Ale gdy te sprawy zachyli i zmienili swój sens... — Nie rozumiem co zacięło i co zmieniło swój sens? — Walka z kulakami wcale się nie skończyła, czego dowodem chociażby proces bandy grasującej w Poznańskim. Na razie dość daleko jesteśmy od chwili zapanowania socjalizmu na wsi. Agrarizm w formie ukrytej — i często daleko złośliwszej — nadal istnieje.”

Czy wobec tego „Wies” powinna przejść na emeryturę?

Gdyby — jak tego sobie życzy Bartelski — „Wies” przeszła na emeryturę, nie byłoby w Porąbce i w Ostrowach Górniczych spółdzielni produkcyjnych, a Porąbka nie miałaby nadziei na uruchomienie swych rezerw łakomych, będących do dnia dzisiejszego pod wodą. Śmiem stwierdzić, życie społeczne całego powiatu bełżyńskiego byłoby poważnie opóźnione.

— Przesada — powie autor. A jednak „Wies” ma w tym wszystkim swój wielki wkład. A jak się to stało — opowiem.

W roku 1950 poczęła w Porąbce kłopotować myśl o potrzebie założenia fundamentów socjalizmu. Na przeszkodzie stał opór niektórych sąsiadów — malarolników, ale przesiąkniętych ideą kapitalizmu. Wtedy to przesiadłem do „Wsi” swój pierwszy w tym sprawie artykuł pod tytułem „Pierwszy krok”. „Wies” zamieściła go w nr 31 z 1950 r. Artykuł został w gromadzie przedyskutowany, część opornych zawstydzona — i w następstwie po kilku miesiącach została zorganizowana spółdzielnia produkcyjna wazrywniczo — sadownicza.

Niestety, ponieważ była to pierwsza jaskółka w powiecie, mariodajne czynniki nie chciały uwierzyć w taką możliwość. Skutek tej niewiary obdł się w drugim moim artykule wydrukowanym w 1951 r. w nr 12 „Wsi” pod tytułem „Porąbka startuje w socjalizm”.

Artykuł ten nie pomógł bezpośrednio Porąbce, utwierdził tylko działaczy, że należy wytyczyć wszystkie siły do doprowadzenia dzieła do końca; spowodował on jednak powstanie zespołu uprawy pastwisk w Czadzie i Rogoźniku, a następnie spółdzielni produkcyjnych w Ujejsku i Łosiu.

Ale w roku 1952 powstaje ponownie spółdzielnia pod nazwą „Zrzeszenie Uprawy Ziemi”. Piszę o tym w artykule „A w Porąbce...” (Wies, nr 12 1952 r.).

Pewne czynniki ze sfery „miarodajnych” sprawiły, że zamieniono ZUZ — na Zespół Uprawy Pastwisk. Zespół ten trwał i działał przez cały rok i utrzymał w działaczach to, co artykuły umieszczono we „Wsi” rozbudziły: potrzebę zorganizowania spółdzielni na podstawach statutowych. Po dalszej walce zewnętrznej i wewnętrznej, na bazie Zespołu Uprawy Pastwisk powstało w roku 1953 Rolnicze Zrzeszenie Spółdzielcze. Zrzeszenie to już po kilku miesiącach swjej działalności wyprzedziło spółdzielnię zaawansowaną i stało się przykładem dla całego powiatu. Piszę o tym w art. „Spółdzielczość produkcyjna „Czerwonego Zagłębia” (Wies, nr 37, 1953 r.).

Czy bez pomocy „Wsi” dalibymy sobie radę? Twierdzą, że nie. Mieliśmy poważne wątpliwości, czy mamy rację dążyć do organizowania placówek, w których nikt poza nami nie wierzył. Redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej” w liście z dnia 17 maja 1951 roku, pisała w zakończeniu — „Jak wynika z Waszego referatu, w Porąbce na obecnym etapie

nie można i nie należy zakładać spółdzielni produkcyjnej”.

Miejscowe społeczeństwo niechętnie słuchało słownych przekonywań i daleko chętniej ulegało podszeptom wrogów. Obawiano się być tym pierwszym i ponosić odpowiedzialność. Artykuły drukowane i kolportowane po wsi, działały wolniej ale skuteczniej. Potęga słowa drukowanego jest wielka. Twierdzono: „Jeśli mu to wydrukowali, to znaczy, że ma rację i tak być musi”.

W ten sposób, zdanie porąbskich działaczy zostało podbudowane zdaniem redakcji i wobec tego — „słowo się rzekło, kobyłka u plotu”.

Choć jeszcze nie wszystko zostało w Porąbce przełamane, nie przeszkadza to jednak stwierdzić, że najważniejszy krok w kierunku przebudowy życia gospodarczego w Porąbce i w całym powiecie bełżyńskim został dokonany. Udział w tym „Wsi” jest niemały.

A teraz weźmy drugą sprawę. Około 100 ha łąk w Porąbce, na skutek szkód górniczych, zostało zatopione lub zabagnione.

Kilka lat trwały starania rolników w kierunku uzyskania możliwości odwodnienia tych terenów i przywrócenia ich produkcji. Wszystkie uchyłki doremne. W centrum życia rolniczo — hutniczego, takie sprawy rolnicze uchodziły za błahostki; nikt się nimi poważnie nie chciał zajmować.

Dopiero z chwilą gdy „Wies” wydrukowała mój artykuł: „Porąbka w Gminie Kazimierz” (Wies, nr 52 z 1950 r.), sprawa nabrała pewnej wagi. Na skutek dalszych starań stopniowo dojrzewała, ale wreszcie w połowie grudnia 1953 roku dokonano technicznej na regulację rzeki Bobrek i odwodnienie łąk, została złożona w woj. Zarządca Wodno-Melioracyjnym w Stalino-grodzie. Prace wykonawcze na gruncie rozpoczęły się wiosną 1954 roku.

Jak z tego widać, nie takie łatwe jest organizowanie życia społecznego i gospodarczego na wsi; a przecież jest ono podstawą do dalszych przemian społeczno-kulturalnych. Obecnie mamy w Porąbce i świetlicę gromadzką i biemy się o pogłębienie życia kulturalnego.

Podane przykłady z Porąbki bynajmniej nie wyczerpują cennej działalności pisma „Wies”. Można by je mnożyć na przykładzie wielu innych gromad.

WŁADYSŁAW WOROSZYŃSKI

Miczurinowcy są działaczami kulturalnymi

D O mojej wsi docierają czasopisma „Nowa Kultura”, „Zycie Literackie”, „Wies” i indydy to przesiadłem do „Wsi” swój pierwszy w tym sprawie artykuł pod tytułem „Pierwszy krok”. „Wies” zamieściła go w nr 31 z 1950 r. Artykuł został w gromadzie przedyskutowany, część opornych zawstydzona — i w następstwie po kilku miesiącach została zorganizowana spółdzielnia produkcyjna wazrywniczo — sadownicza.

Niestety, ponieważ była to pierwsza jaskółka w powiecie, mariodajne czynniki nie chciały uwierzyć w taką możliwość. Skutek tej niewiary obdł się w drugim moim artykule wydrukowanym w 1951 r. w nr 12 „Wsi” pod tytułem „Porąbka startuje w socjalizm”.

Artykuł ten nie pomógł bezpośrednio Porąbce, utwierdził tylko działaczy, że należy wytyczyć wszystkie siły do doprowadzenia dzieła do końca; spowodował on jednak powstanie zespołu uprawy pastwisk w Czadzie i Rogoźniku, a następnie spółdzielni produkcyjnych w Ujejsku i Łosiu.

Ale w roku 1952 powstaje ponownie spółdzielnia pod nazwą „Zrzeszenie Uprawy Ziemi”. Piszę o tym w artykule „A w Porąbce...” (Wies, nr 12 1952 r.).

Pewne czynniki ze sfery „miarodajnych” sprawiły, że zamieniono ZUZ — na Zespół Uprawy Pastwisk. Zespół ten trwał i działał przez cały rok i utrzymał w działaczach to, co artykuły umieszczono we „Wsi” rozbudziły: potrzebę zorganizowania spółdzielni na podstawach statutowych. Po dalszej walce zewnętrznej i wewnętrznej, na bazie Zespołu Uprawy Pastwisk powstało w roku 1953 Rolnicze Zrzeszenie Spółdzielcze. Zrzeszenie to już po kilku miesiącach swjej działalności wyprzedziło spółdzielnię zaawansowaną i stało się przykładem dla całego powiatu. Piszę o tym w art. „Spółdzielczość produkcyjna „Czerwonego Zagłębia” (Wies, nr 37, 1953 r.).

Bartelski stwierdza, że „Wies” „nie potrafiła czy nie chciała znaleźć właściwej płaszczyzny działania; że stała się czynnikiem pośrednim między „Zagadnieniami Ekonomiki Rolnej” a wiejskim „Przekrojem”.

Trzeba przyznać, że było w tym dość dużo winy pisarzy i korespondentów „Wsi”, którzy zarzucając redakcję swoimi zagadnieniami, niekiedy stawiali styl pisma. Z drugiej jednak strony, właśnie dlatego, że „Wies” oprócz spraw kulturalno — społecznych, porusza i zagadnienia z dziedziny ekonomiki rolnej w oświeceniu politycznym, jest wielce cennym doradcą korespondenta i działacza kulturalnego na wsi.

Proszę sobie wyobrazić nauczyciela, pracownika GS czy GRN czy w ogóle innego działacza, który orzacz swoją niwę i karmiąc swój inwentarz, patrzy ponad plot swego podwórza w stronę życia swoich sąsiadów.

Działacz taki opuszcza swoją wieś tylko w wypadku jżjazdu, odprawy czy innego interesu w powiecie; często przez kilka dni mówią o tym we wsi, gdy wypadnie mu jechać do miasta wojewódzkiego czy stolicy. Nie ma on pod ręką księgarni ani kiosków z wyborem pism. Nie ma on teatru, a często i kino rzadko widzi; poza tym wszystkim nie ma on na tyle czasu, by różnie pisma czytać. Swoje potrzeby duchowe, taki działacz czy pół inteligent wiejski ogranicza siłą rzeczy do trzech, czterech pism. Musi więc czytać coś zawodowego, coś politycznego, coś o zagadnieniach całej wsi i wreszcie coś dla siebie, „na deser”. Tym czymś „dla siebie” dla bardzo wielu jest właśnie „Wies”.

„Wies” w sposób prosty i przystępny omawia tak zwaną wielką politykę, porusza zagadnienia miary partyjnej czy państwowej. Jest w niej coś o literaturze zagranicznej i krajowej, jest sporo na temat walki z kulakstwem i szkodnictwem na wsi, na temat przebudowy wsi z gospodarki indywidualnej na społeczną. Często wreszcie jest w niej poruszana problematyka życia społeczno — kulturalnego.

Nie możemy zepchnąć „Wsi” na tory tylko problemów życia społeczno — kulturalnego, bowiem wówczas wiejskiemu działaczowi braknie pisma o tematyce polityczno-gospodarczej przebudowy wsi. A znów wyeliminować z pisma zagadnienia życia literackiego w kraju i za granicą, oznaczałoby: — „Ty, chłopie, działacz, pilnuj swojej spółdzielni i świetlicy, i niech cię głowa nie boli o to, co za ciebie literaci smażą”.

Według Bartelskiego, „Wies” nie powinna dublować pism literackich. Co to oznacza? Innymi słowami

wy oznacza to zmuszanie działacza do nabywania i czytania jeszcze jednego, a może nawet dwóch — trzech pism literackich, bo przecież oprócz pism stołecznych są i pisma regionalne. W takim razie taki działacz winien czytać specjalne pismo o teatrze, kinie, sporcie, malarstwie i cały tuzin innych.

Wcale tego nie bronię, co ma być na to ochotę i możliwości, ale nie można tego narzucać tylko dlatego, że tak pragnie ob. Bartelski. Właśnie potrzebny jest taki wiejski „Przekrój”, który by z punktu widzenia potrzeb kultury, pisał dla wsi o tym wszystkim, co wieś i gmina interesuje, co działacz spotyka.

A co spotyka taki działacz na swej drodze? Ta „cicha i spokojna wieś przed wojną z milionami nie-rejestrowanych bezrobotnych, dzielących zapalkę na czworo” zaczęła się po wojnie burzyć. Ferment ogarnął starych i młodych, mężczyzn i kobiety. Młodzież znajdując drzwi otwarte, pojedynczo, często zwarytymi gromadkami wybiega do miasta — do szkół i uczelni, do kopalń i fabryk, na budowy i do warsztatów. Czasem wraca z powrotem z dyplomem nauczyciela, przedszkolanki, księgowego czy traktorzysty, ale też często wraca do innej wsi, nie do swojej.

Starsze społeczeństwo rzuciło się po wojnie do walki o ziemię, do pracy w samorządzie, do pracy politycznej i do GS. Różnie w tej walce i pracy bywało. Bywało, że niekiedy zwyciężali kulacy a bywało przede wszystkim, że górną bił średniacy i biedniacy. Obok nich nadziałowali myśliciele o stojącym przed nimi problemie indywidualnego zagospodarowania się.

Z chwilą gdy rozpoczęło się na wsi budowanie nowego życia w postaci spółdzielni produkcyjnych, ferment wzmożł się na nowo i dał asumpt do dalszej ucieczki ze wsi.

Ferment ten trwa nadal. Czasem tu i owdzie na pewien czas uspokaja się, a gdzie indziej znów zaojga; niemniej — nie ginie on nigdzie. Trwa nieublagana i zacięta walka z kulakstwem, z lewactwem, wygodnictwem, wodą sodową w głowach i wielu innymi objawami złe zrozumianego awansu społecznego i słabego opanowania dialektyki marksizmu i pracy politycznej.

W tych warunkach działacz społeczny czy kulturalny nie może być tylko niemy świadkiem, notującym zachodzące na wsi zjawiska. Musi się on włączyć do tej walki świadomie i pozytywnie. Musi rozumieć swoją rolę i umieć znaleźć swoje miejsce w szeregu walczących i rozeznając się w narastających zagadnieniach.

W tym wszystkim „Wies” swolimi artykułami z dziedziny walki klasowej i walki o „nowe” dużo

nam wszystkim działaczom pomaga.

Powyżej zacytowałem przykłady z Porąbki. A przecież do Porąbki przychodzi tylko 3 egzemplarze „Wsi”, zaś tysiące innych egzemplarzy idzie na tysiące innych wsi i tam również czyni swój wkład. Kol. Bartelski typuje tygodnik „Wies” na pismo o zasadniczym statusie społeczno — kulturalnym. Elimi-nuje na szary koniec sprawy „Ekonomiki Rolnej”.

Muszę stwierdzić, że to podejście jest niesłuszne. Społeczeństwo wiejskie na wszystkie zagadnienia patrzy przeważnie z punktu widzenia: „czy się to opłaci”.

Przed wszystkim ten punkt widzenia ciąży na organizującej się spółdzielczości produkcyjnej. I na pewno większy wpływ i szersze działanie wykaże ta spółdzielnia produkcyjna, w której członkowie będą mieli większe dniówki obrachunkowe.

Najlepiej urządzona świetlica nie będzie uznana, o ile jej kierownictwo nie potrafi wypracować takiego programu, który by wsi przynosił korzyść. Nawet odciągnięcie młodzieży od kart i wódki uzna wieś za osiągniętą korzyść.

Najlepiej zaopatrzona Gminna spółdzielnia, zaspokajająca potrzeby wsi nie będzie szanowana, o ile jej zarząd nie wypracuje pewnych, bodaj minimalnych nadwyżek.

Wyeliminowanie zagadnień ekonomicznych z łamów „Wsi” i nie wiązanie ich z zagadnieniami społeczno — kulturalnymi oznaczałoby pozbawienie działacza wiejskiego możliwości ubrąjania się po linii zainteresowań wsi i skazywałoby go na konieczność szukania materiału w innym miejscu. A przecież u podstaw każdego zjawiska społeczno-politycznego i społeczno-kulturalnego leży zagadnienie ekonomiczne. Narody kulturalne nie dlatego są narodami bogatymi, ale właśnie są one dlatego bogate, że postępowi kultury wyprosowano drogę przez postawienie społeczeństwu przed oczy zagadnienia dobrobytu.

I dlatego ironicznie twierdzenie autora artykułu „Czy wieś czyta „Wies” — „że „Wies” stała się czymś pośrednim między „Zagadnieniami Ekonomiki Rolnej” a „Przekrojem”, jest najzupełniej niesłuszne.

Ze „Wies” miała pewne błędy to nie ulega wątpliwości. Ale, pytam się: które pismo ich nie ma? Nie ma takiego pisma, które by w okresie tak gwałtownych przemian politycznych, społecznych i gospodarczych ustrzegło się przed błędami. To też krytyka rzeczowa jest w tym wypadku bardzo potrzebna i nie należy wątpić, że „Wies” z artykułu Bartelskiego w

(Dokończenie na str. 7)



Nauczycielka wiejska

SPOTKANIE

W pierwszą niedzielę grudnia wzięliśmy do Suchedniowa aby złożyć wizytę sympatycznej koleżance Maryni S. — jednej z nauczycielek w tamtejszej szkole TPD.

Moja znajoma, rodem z Warszawy, była przyrodniczką z dyplomem magistra filozofii, skierowaną nakazem pracy do suchedniowskiej siedmiolatk. Znajac ją od dawna, jako osobę przyzwyczajoną do życia wielkomejskiego, ciekawo byłem, jak też zaaklimatyzowała się na wsi, gdzie jest tylko jedno „stale kino”, telefon z korbką, a ludzie chodzą spać o ósmej.

Ostatni pociąg do Kielc odchodził o 7. „Trzeba się spieszyć” — myślałem, przemierzając wielkimi krokami łąkę, obspaną burymi kopcami i kretowiskami. Pola i las owijała swym szaleem przedwieczna mgła.

A pan do kogo, co? Odwróciłem się. Starsza kobieta, prawdopodobnie woźna, kłula mniem ważnym, trochę zdziwionym wzrokiem. Policzki miała ściągnięte, a pod oczami połączną sieć zmarszczek.

— Czy zastąpię profesorkę S.? — Profesorka wyszła... będzie z 10 minut... chyba na Kleszczyn.

Kleszczyn — nieduża wieś, zamieszkała w większości przez kilkukultarowych chłopów, stanowiła jak gdyby przedłużenie Suchedniowa. Szło się tam ulicą 1 Maja potem przez most na rzeczce, wreszcie trzeba było przeciąć tory kolejowe. Pod górki — na Łączną — wóki się stękały, towarńiki. Nad stacją zawało czerwone oko semafora. Stop! Szedłem przydrożnym chodnikiem, zaglądając do okien, to znowu wypytując przechodzących ludzi. W jednym z mieszkań zadano kolację; wysoki mężczyzna pokazywał palcem na wielki tytuł w gazecie. W innym zobaczyłem starego chłopca ze słuchawkami detektora na uszach, to znowu jaśną główkę chłopczyka schyloną nad zeszytem. Przeszedł obok robotnik schowany w watowanym ubraniu, spieszył się na pociąg do Skarżyska. Naraz wszystko zniknęło z wyjątkiem dwóch kwadratów oświetlonych okien.

Zatrzymałem się. W przestronnej izbie odbywało się zebranie, a może odczyt... Auditorium składało się z kobiet. Przeważały chustki zarzucone na głowę i męskie kurtki; nie brakowało też ubranych z miejską w płaszcze i starszych okrzynanych barwnymi zapaskami. Siedziało nieruchomo, jak posągi, wpatrując się w Marynię.

Tak jest, to była Marynia; Stała za zwykłym kuchennym stołem, kulawym widoczną na jedną nogę, bo przytrzymała go ręką, żeby się nie kołysał. Opowiadała z przejęciem coś, czego jeszcze nie mogłem dosłyszeć. W czarnym fartuchu podobna była do jednej ze starszych uczennic, które z Kleszczyn jeździła codziennie do średniej szkół ogólnokształcących w Kielcach. Twarz miała zarumienioną, odgarniała co chwilę jasne włosy, które ustawicznie spadały jej na czoło i uśmiechała się jak zwykle czując. „No, no” — pomyślałem — brawo, brawissimo! A jeszcze nie tak dawno temu usiłowała mnie przekonać, że jej powołaniem jest tylko i wyłącznie uczyć: Pierwotniki, ssaki, muchomory... Uczyć i wymagać! Stawiała dwoje! „Jestem człowiekiem nauki” — tłuła drobnymi piąstkami o biurko, „Niech mi dadzą święty spokój...”

A pan czego szuka w moim domu? — usłyszałem z tyłu.

Objeżdżałem się.

Jestem sołtysem — przedstawił się cicho.

Co one tam robią? — spytałem szeptem.

A to pan nie wie? Gadają o kurach, żeby się lepiej niósły, rozumie pan? Tam też jest moja żona, ta przedzie w białej chustce na ramionach, widzi pan? Radzą, żeby więcej jajek kury niosły — zaśmiał się z aprobatą. — My mamy dziecię kur, w tym dwie zielononóżki... Taki babki sejm — dodał wesoło — ale może co uradzą...

— Dziś żadnego z nauczycieli pan nie zastanie — tłumaczył, rozjechał się: do Baranowa, Michniowa, na Wierzbkę i jeszcze Bóg wie gdzie... To wszystko bez te ich zobowiązania. Kierownik dał przykład, prozę pana... Ten siwy, wysoki od rachunków, jechał na rowerze wedle mojego domu; nauczycielka od polskiego odwoziła własnym koniem do Michniowa. Tam już na nią czekał sołtyś. Też chyba miała gadać, bo mówiła: „Zaraz zaczynamy odczyt”. Spojrzałem na zegarek. Pociąg odchodził za pół godziny. Musiałem wracać.

Czesław Michniak

Władysław Woroszyński
Czudec — woj. rzeszowski

STARSZYNA kozacka zebrana na naradę 8 stycznia 1654 roku w miasteczku Perejasławu, na wniosek hetmana Bohdana Chmielnickiego uchwałała przyłączenie Ukrainy do Rosji, zrywając tym samym wszelkie związki z szlachecką Rzeczpospolitą Polską.

Uchwała ta była wynikiem długoletniej walki narodowo-wyzwoleńczej ludu ukraińskiego, prowadzonej przeciwko kolonizatorskiej polityce magnatów polskich; była wynikiem rosnącej świadomości narodowej ludu ukraińskiego, który szukał związków państwowych z pokrewnym sobie językiem, kulturą i religią (w tym okresie czynnik religijny odgrywał jeszcze dużą rolę) wielkim narodem rosyjskim.

Połączenie Ukrainy z państwem rosyjskim dawało jej pierwszy możliwość rozwoju narodowego, kulturalnego i ekonomicznego. Ratowało przed niewolą polityczną ze strony szlacheckiej Polski i Turcji.

Od czasów Unii Lubelskiej (1569) kolonizatorska polityka państwa polskiego, wyrażająca się w eksploatacji gospodarczej terenów ukraińskich, oraz w potęgającym się ucisku narodowym i religijnym, inspirowanym przez jezuitów, wywierała czynny opór w postaci masowych powstań kozackich, chłopów oraz ludności miejskiej. Bez względu na krwawo tłumione powstania tylko na pewien czas przywracały panowanie magnaterii, która nie chciała i nie mogła rozwiązać żadnego ze społecznych i ekonomicznych problemów Ukrainy bez uszczerbku dla swych interesów klasowych.

Powstania na Ukrainie były wspólnym wystąpieniem kozackim i chłopów.

Wolna jeszcze ludność ze wsi i miast ukraińskich, zasilana zbiciami z pańszczyźnianych wsi, osiedlała na terenach położonych nad Dnieprem na tzw. Dzikich Polach. Nazywano ją Kozakami Narazeni na nieustanne napady Tatarów Kozacy stworzyli rodzaj organizacji wojennej. Centrum tej organizacji była tzw. sieć zaporoska.

Kozacy bronili Rzeczypospolitej szlacheckiej przed napadami Tatarów i Turków, lecz równocześnie Zaporozże było ochroną dla uciekających chłopów, pozostawało z nimi w ciągłym kontakcie. Aby zerwać związki Kozaków z ukraińskimi chłopami nadawano Kozakom odrębne od reszty ludności prawa i przywileje, traktowano ich jako żołnierzy, wpisywano do tzw. rejestru.

W miarę tego jak kozackość rosła w siłę, zaczęła ona wysuwać własne cele i hasła. Najsilniejsze były hasła obalenia panowania magnackiego na Ukrainie oraz zerwania łączności państwowej z Polską.

Pierwsze większe powstanie kozacko-chłopskie miało miejsce w 1592 r. Na czele jego stanął drobny szlachcisk Krzysztof Kosiniak. Dwa lata później wybuchł bunt o wyraźnym społeczno-narodowym charakterze, kierowany przez Nalewajkę i Łobodę. W XVII wieku znowu mamy kilka powstań, tłumionych całą potęgą militarną szlacheckiego państwa.

Lecz największe i najdłuższe powstanie kozacko-chłopskie, które ostatecznie wyzwoliło lewobrzeżną Ukrainę od polskiego ucisku, było powstanie rozpoczęte w 1648 roku. Na jego czele stanął pisarz wojska zaporoskiego, z pochodzenia prawdopodobnie drobny szlach-

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

300-lecie powstania Chmielnickiego

cie, Bohdan Chmielnicki. W działaniach przeciwko Polsce oparł się on na szerokich rzeszach chłopów ukraińskich i na biedocie miejskiej. Dążył do tego, by chłopie powstanie przerzucić również i na teren ziem rdzennie polskich, by działać wspólnie z chłopami polskimi.

Szlachta zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa przerzucenia się powstania na ziemie etnicznie polskie. Walczono z ruchem nie tylko orężem, ale i bronią dyplomatyczną, intrygami i przekupstwem. Starano się usunąć rozbić jedność Kozaków z chłopami — poddani i biedota miejska. W korespondencji prowadzonej przez stronę polską z Chmielnickim raz po raz napotykałmy odróżnienie „czerni” — chłopów od Kozaków. Na przykład w liście komisarza królewskiego Kisiela do Chmielnickiego czytamy: „Upatrzył Jego Królewską Mość, że pospółstwo oddzieli się od wojska zaporoskiego bez tumultu i zamieszania. Kozacy zostaną w swym porządku, a owi (to znaczy chłopie — W. B.), do panów swoich obrócisz się, upokorzą się...”

Masowy udział chłopów w powstaniu nadawał mu siłę i rozmach. W ogniu walki rośli chłopcy, samodzielnymi dowódcami i przywódcami, tacy jak Maksym Krywonos, Nieczaj, czy Ilnat Wysoczan z Wiktorowa.

Gdy latem 1648 roku wojska Chmielnickiego, po zwycięstwie odniesionym nad szlacheckim pospółtym ruszeniem pod Piławcami wkroczyły na ziemie przemyską i chełmską, chłopie na tych terenach przyłączyli się do powstańców. Ruch ogarnął wówczas nie tylko ludność ukraińską ale i polską.

Chłopi napadali na dwory, palili je, brali sprawiedliwy odwet na okrutnych panach i oficjalistach. Równocześnie młodzież wiejska tłumnie zgłaszała się do szeregów kozackich i manifestowała swą solidarność z ruchem. Nawet z terenów oddalonych od bezpośrednich działań wojennych jak z Litwy, Mazowsza i zachodniej Małopolski zbiegali chłopie nie w pojedynkę — jak dawniej — ale całymi grupami i łączyli się z powstańcami.

Latem i jesienią 1648 r. śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad szlachecką Rzeczpospolitą. Walka posiadała ostre cechy klasowe. Spodziewano się, że ogarnie cały kraj.

W polskim obozie szlacheckim widzieliśmy tych, którzy choć obcy szlachcie polskiej, narodowości i wiarą byli jednakowo zagrożeni powstaniem i dlatego pragnęli przywrócić „porządek”. W obozie szlacheckim znaleźli się więc szermierze prawosławia Adam Kisiel i Maksym Brzozowski, jak również Wiśniowicz, Czetwertyński oraz „stary Rusin” Zaciwlichowski. Po stronie kozackiej widzieliśmy Polaków — i to nie tylko chłopów, którzy uciekali przed batem ekonomów, ale również i drobną szlachtę polską, wydziedziczoną i na równi z chłopami eksplloatowaną przez magnatów. Od końca XVI wieku byli podejmowane próby stworzenia na Ukrainie szlacheckiego osadnictwa wojskowego. Jednakże, jak stwierdza Aleksander Jabłonowski — „Próby zaszczerpienia rycerskiej średniej własności ziemskiej okazały się niemożliwymi do urzeczywistnienia... własność ta topniała i rozpyliwała się w latyfundiach...”

„Walka narodu ukraińskiego przeciwko polskiej szlachcie znajdowała szeroki oddźwięk i sympatię wśród chłopstwa polskiego, które cierpiało wskutek ucisku polskich feudałów” — stwierdza uchwała KC KPZR, Rady Ministrów ZSRR i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR w sprawie obchodu 300 rocznicy zjednoczenia Ukrainy z Rosją. Wyrazem tego były liczne powstania chłopie na terenie całej Polski, było powstanie chłopów podhalańskich pod wodzą Kostki Napierskiego.

Postać wybitnego męża stanu i dowódcy — Bohdana Chmielnickiego żyje w legendach i pieśniach ludu ukraińskiego i rosyjskiego.

Również wśród naszego ludu żyją echa powstania Chmielnickiego. Na wieść o powstaniu na Ukrainie chłopie polscy zrywali się także do walki przeciwko niewoli feudalnej. Na swym terenie organizowali grupy zbrojne, gromili dwory, rozdziali zbroje obszarnicze.

Zebrań opowieści, legend, pieśni i innych materiałów o powstaniach chłopie w ogóle, a w szczególności o powstaniach w połowie XVII wieku, posiada doniosłą wagę historyczną. Pozwól one bowiem na dalsze pogłębienie tradycji wspólnych walk narodu polskiego, ukraińskiego i rosyjskiego.

Redakcja zwraca się do czytelników naszego pisma z prośbą o badanie w swoim terenie, czy nie krąży wśród tamtejszej ludności jakieś materiały o walkach chłopów w XVII wieku.

Nadesłane materiały zostaną opublikowane.

REDAKCJA



Bohdan Chmielnicki

Mal. B. Hondius

Magnaci wydzielali ziemię szlachecką, zmuszali ją do służby na swych dworach. Podporządkowywali sobie w sposób bezwzględny. W czasie powstania znaczny procent tej „wydziedziczonej” przez magnatów szlachty przeszedł na stronę Chmielnickiego. O tym, w jakim to się znalazł obozie decydowała nie tylko narodowość, lecz przede wszystkim wspólnota interesów klasowych.

Niewyjaśniony dostatecznie przez historię odwrót wojsk Chmielnickiego jesienią 1648 roku spod Zamościa na Ukrainę spowodował, że wojna chłopie nie rozszerzyła się dalej na zachód. Szlachecka Rzeczpospolita była uratowana. Miała czas na to, by zebrać siły, poczynić zaciągi, przygotować armię do walki o przywrócenie magnackiego panowania na Ukrainie.

*

Walka z feudalnym uciskiem na

Ukrainie znalazła żywy oddźwięk na ziemiach polskich. Od wsi do wsi szły wieści o zwycięstwach chłopów i, klęskach szlachty. Nimby niezwykła, potęg i siły, jakiego otaczał szlachę, zniknęły nagle. Na wsiach zawrzało. Niemal powszechnie stało się przekonanie, że właśnie nadchodzi chwila, kiedy można będzie wziąć odwet za wiekowe krzywdy, można będzie obalić znieprawdzone panowanie feudałów.

„Kiedy był jeszcze ustrój pańszczyźniany — pisał Lenin — cała masa chłopie walczyła ze swymi ciemiężcami, z klasą obszarników... chłopie nie umieli się zjednoczyć, chłopie byli zupełnie ciemni, chłopie nie mieli pomocników i braci wśród robotników miejskich, ale chłopie mimo to walczyli jak umieli i jak potrafili”.

Największe polskie ruchy antyfeudalne, powstanie podhalańskie

oraz akcja w Wielkopolsce, na Mazowszu i w Sieradzkim w 1651 roku pozostają w ścisłej łączności z powstaniem na Ukrainie.

Powstanie na Podhalu wybuchło w przeddzień walnej bitwy pod Beresteczkiem, kiedy to szlachecka Rzeczpospolita wytyżała wszystkie swe siły, aby przywrócić panowanie magnatów na Ukrainie.

Współcześni nie mieli żadnych wątpliwości co do istnienia związku między tymi wydarzeniami. Jeszcze w trakcie organizowania wyprawy 1651 roku szlachta liczyła się z możliwością chłopie powstania na ziemiach etnicznie polskich. W pamiętniku Stanisława Osiećmiana pod datą 24 stycznia 1651 r. czytamy: „Przyszła przestroga od cesarza do króla jakoby z ludzi in imperio (w cesarstwie)... zaciągnięto na Chmielnickiego czterech tysięcy dobrego żołnierza, aby przez włość spiską werzgnąć się do Polski i z chłopów w górach pobuntowanymi złączyć się na Kraków nastąpił i dalej coś znaczniejszego zrobili...”

Wiadomość balałutna, tym nie mniej ważna z tego powodu, że świadczy o tym, że liczone się poważnie z możliwością buntu chłopie w Polsce. Jeszcze wyraźniej o nastrojach w Polsce informuje anonimowy list z 15 kwietnia, przechowywany w tzw. Tekach Narzeszewicza. Czytamy tam:

„Co jest szczególnie gorsze — to wojna chłopie; któż bowiem może być bezpieczny jeśliby poddaństwo (to znaczy chłopie — WB) poszło jeszcze dalej. Potrzebna jest duża czujność, gdyż chłopie wszędzie gotowi są zbiec do tych zdradców, jeśli mieliby wodza...”

Gdy szlacheckie siły zbrojne wyruszyły na Ukrainę, obronę interesów feudałów polskich powierzono hierarchii kościelnej. Nie jest rzeczą przypadkową, że decydującą rolę w tłumieniu powstania podhalańskiego odegrał biskup krakowski Gębicki, a ruch w Wielkopolsce zdusił biskup poznański Kazimierz Czarotyski.

Czy istniały bezpośrednie związki i kontakty pomiędzy Chmielnickim, a przywódcą powstania podhalańskiego Kostką Napierskim oraz Grzybowskiem organizatorem ruchu chłopie w Wielkopolsce?

Szlachcacy dziejopisarze bezkrytycznie uważają Kostkę Napierskiego za narzędzie w rękach Chmielnickiego. Temberski pisze, że Napierski „w zeszłym roku (1650) był u Chmielnickiego i... prawdopodobnie korzystając z rad Chmielnickiego przygotowywał powstanie”. Pastorius wprost nazywa Kostkę „nikczemnym narzędziem w rękach Chmielnickiego”. Grondski twierdzi, że „Chmielnicki... rozniecał nowe powstania w Polsce podpuszczając niejakiemu samowarce Napierskiemu”. Niejaki Szczucki w swym liście daje taką oto ocenę powstania podhalańskiego: „Chmiel to robił, który wszystkich na zniszczenie korony wszystkim sztukami usadził. Będzie on zwłóczył bitwę, aby tu jego szpiegowie zrobili coś tymczasem”.

Podobnych powiedzeń i stwierdzeń można by przytoczyć więcej.

Pomiedzy Napierskim a powstańcami ukraińskimi istniały kontakty. Niewątpliwie Kostka i chłopie podhalańscy liczyli na pomoc z Ukrainy. Lecz walka ich wyrastała nie

z „obcej” inspiracji, a z miejscowego klasowego ucisku i wyzysku. Była protestem przeciwko szlacheckim nadużyciom i bezprawiom.

Jak stwierdza radziecki historyk Miller „powstanie podhalańskie nie było odosobnionym i jedynie równocześnie z kampanią berestecką wydarzeniem, ale stanowiło jej część organiczną i wspólnie z innymi analogicznymi ruchami na ziemiach rdzennie polskich miało za zadanie w kulminacyjnym momencie rozdzielić siły szlacheckiej Rzeczypospolitej i doprowadzić do jej całkowitego rozgrucenia”. Miała to więc być wielka bitwa klasowa w skali ogólnopolskiej, prowadzona zarówno przez Polaków, jak i Ukraińców.

Ruch antyfeudalny w Wielkopolsce w czerwcu 1651 r., a więc równocześnie z powstaniem podhalańskim był organizowany przez byłego żołnierza Grzybowskiego i około 100 emisariuszy. Ruch charakterystyczny, że emisariuszami tymi, przybyłymi częściowo aż z Ukrainy, byli wyłącznie Polacy, niektórzy nawet szlacheckiego pochodzenia.

*

Szybkie stłumienie powstań chłopie na ziemiach etnograficznie polskich świadczy o tym, że państwo szlacheckie stanowiło jeszcze poważną siłę. Równocześnie świadczy to o sile ruchu ukraińskiego, który potrafił nie tylko stawić czoło Rzeczypospolitej lecz nawet odnieść nad nią wspaniałe zwycięstwa i częściowo zrealizować swój cel narodowo-wyzwoleńczy, zrzucenie panowania polskiego. Niewątpliwie powstanie pod wodzą Chmielnickiego zadło poważny cios szlacheckiej Polsce, cios, który przyspieszył jej ostateczny upadek.

Wybuch rewolucji społecznej na Ukrainie rozległ się w Polsce głoszonym echem, poruszył masy krzywdzone i zmusił je do działania, gdyż chłopie wyczuwali wspólnotę interesów klasowych, czuli, że walka ludu ukraińskiego jest również walką o ich wyzwolenie, o ich prawa. Chłop był świadom swej krzywdy, lecz nie widział możliwości ratunku, nie miał przywódców ani opracowanego programu. Brakło wówczas jeszcze tych czynników, które decydują o zwycięstwie ruchu.

Jak stwierdza Stalin „Powstania chłopie mogą odnieść sukcesy jedynie w tym wypadku, jeśli idą one w parze z powstaniem robotników i jeśli robotnicy kierują powstaniami chłopów. Tylko łączne powstanie chłopów z klasą robotniczą na czele może doprowadzić do celu”.

*

Braterski sojusz i przyjaźń narodów rosyjskiego i ukraińskiego uocniły się i zahartowały w Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej, w ogniu wojny domowej przeciwko kontrewolucji wewnętrżnej i obcej interwencji zbrojnej, w toku budownictwa socjalistycznego, w historycznych bitwach Wielkiej Wojny Narodowej przeciwko niemieckiemu - faszystowskiemu najeźdźcom.

Niewzruszona, wieczysta przyjaźń narodu rosyjskiego i ukraińskiego, wszystkich narodów Związku Radzieckiego stanowi rejonie niezawisłości narodowej i wolności, rozkwitu kultury narodowej i wspaniałego rozwoju narodu ukraińskiego, podobnie jak i innych narodów Związku Radzieckiego.

Władysław Bortnowski

* W. Lenin — Dzieła tom V, wyd. 3 — rosyjskie, strona 311.

NADZIEJA DRUCKA

NAJPOCZYTNIEJSZA KSIĄŻKA NA WSI

Preczytałam niedawno wzmiankę w prasie, że jedna z bibliotek wiejskich na Białostocczyźnie zaopatrzyła swój księgozbiór w 15 egzemplarzy „Zorane go” Szołochowa. I wszystkie są stale w czytaniu. Wystarczy, by ktoś przyszedł z tomem tej powieści do wymiany, by z miejsca brał go inny czytelnik.

Czym jest dzieło, budzące tak żywe zainteresowania wśród ludu wiejskiego w Polsce?

I.

„Zorany ugor” jest to utwór, będący żywą reakcją pisarza na wypadki w tym okresie, kiedy Rewolucja potężnym pługiem przeorywała wieś radziecką, wyzwalała chłopstwo pracujące z wyzysku, ucisku i odwiecznych przesądów.

Był to bardzo skomplikowany proces socjalny. Wielka jest zasługa Szołochowa, że ukazał ów proces w całej jego ostrości i prawdzie życiowej.

By ocenić wielkość tego, co Szołochow wniósł do literatury, należy uprzytomnić sobie, że zachowując ograniczoną chłopstwa, uwarunkowaną jego położeniem w carskiej Rosji, ukazuje on zarazem jego wysoce skomplikowany świat wewnętrzny.

Před oczami czytelnika przesuwają się żywi ludzie z licznymi ich zaletami i wadami. Żywy jest Ostrownow — kulak, dywersant, współmorderca Choprowa i jego żony. Widzimy tego człowieka obarczonego ciemną przeszłością polityczną, idącego na pasku kontrewolucjonisty Polowcewa, jednocześnie jednak dobrego gospodarza i zdolnego organizatora; instynkt przywiązany do ziemi chłopie buntuje się w nim przeciwko prowadzeniu akcji sabotażowej i dywersyjnej.

Szołochow do końca powieści nie stawia Ostrownowa przed koniecznością poniesienia kary, pozwalając mu — wbrew jego zamiarom — działać raczej z korzyścią dla otoczenia.

Z wielką sympatią kreśli autor postać Nagulnowa — komunisty-fanatyka, który w sposób niepoohomowany — z niedobrymi następstwami dla sprawy i dla siebie — lecz z pasją i głębokim przekonaniem broni zasad komunizmu i wiela w życie idee kolektywizacji wsi.

Gdy na skutek decyzji władz partyjnych Nagulnow zostaje usunięty z partii, woła z rozpaczą:

— Gdzież jest podziemie bez partii? Co będę robił? Nie, legitymacyjnie nie oddam! Włożyłem całe swe życie... całe życie... To już lepiej kazać mnie rozstrzelać! Życie mi teraz niepotrzebne. Wydajcie z życia!”

Prawda i głębokie związki z ideą brzmiały w tych nieporadnych słowach Nagulnowa z taką siłą, że musimy wierzyć, iż tacy ludzie, mimo wad ich charakteru, potrzebni są swemu narodowi i partii. Oczekujemy też, że Nagulnowowi zostaną przywrócone godność sekretarza komórki, że wróci on na fono partii. I oczekiwania nas nie zawiodą.

II.

Szołochow pokazuje proces powstawania nowego radzieckiego człowieka w mecie walki. Bohaterowie „Zorane go” czują się gospodarzami ziemi, gospodarzami życia. Pojmując wielkość swej pracy i podchodząc do każdego zadania z punktu widzenia dobra państwa, pogłębiają swe człowieczeństwo.

Na wskroś prawdziwy jest pozytywny bohater powieści Dawydow. Ten pozornie spokojny, rozsądny człowiek, surowy w stosunku do siebie i ludzi, jest w gruncie rzeczy

marzycielem. Dawydow wierzy w wielkość swej pracy i dzieł narodu. Motorem jego czynów jest niezachwiana wiara w zwycięstwo idei komunizmu. Prostym, skromnym, mający na celu jedynie dobro ogólne, pracowity i sprawiedliwy — Dawydow mógłby się stać postacią wyidealizowaną, gdyby nie błędy, które popełnia kierując kolchozami, gdyby nie słabość okazywana wobec Luszki — dziewczyny pozawolonej zalet kobiety radzieckiej.

To, że czolowe postacie „Zorane go” są tak prawdziwe, kaže nam wierzyć także w prawdziwość ich uczuć i czynów — a tym samym kaže nam również wierzyć w zwycięstwo idei, o którą walczą.

Kolchoz przeżywa różne wstrząsy. Nierozważne zarządzanie uspołecznienia drobiu, staje się chwilowym kamieniem, który zawazy na całej akcji kolektywizacji. Kobiety godzą się na scalenie ziemi, na oddanie krów i koni, lecz zabranie im z chaty ulubionej kokoszki, wytrąca je z równowagi.

Przychodzi wiadomość o zamieszaniu w „Prawdzie” artykuł Stalina: „Zawrót głowy od sukcesów: „Komu potrzebne to wypaczenie?” pisał Stalin — „Komu są potrzebne: to urzędnicze dekrety o ruchu kolchozowym, te niegodne groźby w stosunku do włościan? Nikomu, prócz naszych wrogów! Do czego mogą doprowadzić te wypaczenia? Do wzmocnienia naszych wrogów i do dyskredytowania idei ruchu kolchozowego. Czyż nie jest jasne, że sprawcy tych odchyłań, którzy mają się za lewych, pedzą wodę na młyn prawicowego oportunistów?”

Artykuł Stalina dokonał zasadniczego zwrotu w świadomości wielu ludzi. Po przeczytaniu go, Kozacy mówią do Polowcewa, który przy pomocy kłamstwa wciągnął ich do

organizacji kontrewolucyjnej, że otworzyli się na jego i od dziś drogi ich i Polowcewa rozchodzą się na zawsze.

Artykuł jest jednak różnie komentowany. Każdy wyciąga z niego wnioski, odpowiadające jego własnym poglądom. Przeciwnicy kolektywizacji przemawia przywiązanie do własności, chęć zysków dla siebie, bierność, głupota, wreszcie wroga działalność, podziemna akcja kulaków i elementów reakcyjnych.

Kolchoz się rozpada. Ponad stu chłopów występuje z kolchozu. Ale móżolny, codzienny, usprawiony trud uswiadomionej części wsi, niezłomna wiara w słusze dzieło, wiara Nagulnowa, Razmintonowa, Lubiszkina i innych — prowadzi Gremiaczy Łog do pokazania w praktyce, w życiu codziennym — wyższości gospodarki kolektywnej.

III.

Przewodniczącą kolchozu Dawydow, wiążąc z terenów uprawnych leżący odległym ugor, wzywa kolchoźników do współwzrostu i sam chwytą za plug. Wprowadza nowe metody uprawy, kaže oczyszczać z chwastów zboże.

Na rezultaty nie trzeba długo czekać. Nie wskutek namowy, niewłaściwych chwytów, niepotrzebnych groźb lub moralnego szantażu — lecz wskutek jawnej wymowy faktów chłopie przekonują się, że Dawydow ma rację i zaczynać z powrotem garnąć się do kolchozu.

Zdecydowany do niedawna wróg reżimu, dywersant Ostrownow, niczego nie zdola przeciwstawić racjonalnej gospodarce. Rozwija gorącą działalność w sprawie przygotowań do pelenia i zaspęguje zarząd różnymi projektami gospodarczymi. Proponuje urządzić kilka nowych sadzawek na działkach polnych, by bydło nie potrzebowało chodzić o

kilka kilometrów do wodopoju. Występuje z projektem wybudowania niewielkiej cegielni. Wreszcie namawia kolchoźników, by ogacił Dumny Jar, gdzie woda co roku rozmywała bogate ziemie koło chutoru, na których bujnie rosło proso.

Nagulnow, mimo nieufnego i niechętnego stosunku do Ostrownowa, przyznaje: — Chociaż z ducha jest to człowiek obcy, gospodarz jednak całą sobą. Choć wzdycha do dawnego życia, pracuje rzetelnie. Rozstrzelac go — cóż z tego będzie? Gdy pracuje — przysparza pożytku. Partia ma wielki rozum...”

Ludzie Szołochowa żyją prawdziwym życiem. Zwalczają się wzajemnie i zarazem zwalczają w sobie przywiązanie do wszystkiego, co stare, co obumiera. Kochają życie, walczyć o to, by było coraz piękniejsze.

Odejdzie żony Nagulnowa, jej miłość do Timofieja i stosunek Dawydowa do Luszki — pozwalają nam widzieć bohaterów „Zorane go” jakby w kilku płaszczyznach.

Jedną z centralnych postaci powieści jest Majdannikow, Kozak — średniak, który zmaga się ze sobą w sposób dramatyczny. Szołochow z ogromną sympatią maluje obraz Kondrata, jego mężną walkę i zwycięstwo. Pisarz otwiera w nim człowieka wyzwolonego, triumfuje jego nowej osobowości — drobnej cząstki wielkiego narodu, budującego nową erę.

„Kondrat — pisze autor — myśli o nędzy, jaką cierpi kraj realizujący plan pięcioletni i zaciskając pięść, mówi w duchu z nienawiścią do tych robotników Zachodu, którzy nie są za komunizmem: Czy nie widzieli poprzec granice jak ciężko przychodził nam odbudowanie gospodarki? Jaką nędzę cierpimy? Bosi jesteśmy i nędzy, a zaciśkami zęby i pracujemy...”

IV.

Dzieło Szołochowa, mające niezwykle walory artystyczne, służy swą sugestywną siłą idei wychowania mas pracujących wsi w duchu socjalizmu. Jest utworem na wskroś realistycznym, rozwijającym się w sposób dialektyczny.

Styl dzieła i język bohaterów są ściśle związane z ich dziełami. Podziwiamy ten styl zarówno w upiornym scenie zabójstwa Choprowych, jak i w pełnym poezji fragmencie, w którym Dawydow chłonie żywotne siły świeżo żaranej ziemi.

Szołochow w sztuce pisarskiej wyprowadza epokę, łącząc najczystszy socjalizm z natchnionym romantyzmem.

Jakie reminiscencje budzi jego książka? Piękne to dzieło powstało w piętnaście bez mała lat po Rewolucji Październikowej z perspektywą tych lat jego twórcy widział rzeczywistość w całej jej różnorodności.

W „Zorany ugorze” mamy obraz wsi wytrwale idącej do postępu. Szołochow gorąco nawołuje do wzięcia udziału w tym pochodzie. Jego dzieło jest przepojone głębokim patriotyzmem.

Jego książka uczy. Pokazuje ona błędy ludzkie, szkód wyrządzoną przez nie wielkiej sprawie, nieudolność wykorzystywania potencjalnych sił człowieka.

Pionierski ten utwór może być dla nas pouczającą lekcją. Obnaża bowiem w całej jaskrawości błędy, które popełniali na wsi radzieckiej ludzie nie umiejący zgłębiać nakazów partii, interpretujący na swój sposób jej zalecenia. Pomaga nam zatem ta książka w szybszym czasie i bez wstrząsów przebyć drogę, na którą przed 36 laty wstąpiły narody Kraju Rad — budowniczo swojej wielkiej ojczyzny.



Foto — A. Musiał

IRENA MACIEJEWSKA

O książce nowego czytelnika

N A fali ogólnej dyskusji nad wydawnictwami warto byłoby zastanowić się chwilę nad „Książką nowego czytelnika”, nad określeniem społecznej funkcji tej książki: jej rolę w zdobywaniu nowych rzesz czytelników, jej znaczenie w przygotowaniu IV etapu konkursu czytelniczego, konkursu do którego zgłosiło się już około pół miliona czytelników. Zdanie sobie sprawy z dotychczasowej pracy z wad i zalet, z osiągnięć i braków ułatwi dalszą pracę tego cennego wydawnictwa.

„Książka nowego czytelnika” wychodzi od r. 1950. W ramach tego wydawnictwa wyszło już wiele cennych pozycji. Od klasyków poczynając, poprzez polską literaturę współczesną sięga „Książka nowego czytelnika” aż po współczesną powieść postępowych pisarzy zachodnio-europejskich. Jak dotąd niestualny jest stosunek wydawnictwa do literatury radzieckiej oraz współczesnej literatury polskiej. Do pierwszego sięga wydawnictwo zbyt rzadko, do drugiego niewłaściwie.

Chciałabym zatrzymać się chwilę nad społecznym adresem wydawnictwa i wnioskami, jakie stąd płyną. Adres ten określony jest bardzo precyzyjnie. Brzmienie: „nowy czytelnik, to znaczy zapracowana gospodyni wiejska, to znaczy po prostu: człowiek, który po raz pierwszy styka się z książką, człowiek, któremu nowe stosunki społeczne, nową ustrój otwiera drogę w świat. Na początku tej drogi spotyka się on przede wszystkim z książką; dopiero za nią idzie kino, teatr, audycja radiowa. I dlatego, otwierając przed człowiekiem tę drogę, trzeba dbać o to, żeby była prosta i dostępna, by liczyła się z przygotowaniem czytelnika.

„Książka nowego czytelnika” w znacznej mierze spełnia te warunki. Każda nowo wydana pozycja przypomina poprzez swoją kolorową ładnie ilustrowaną okładkę, poprzez dużą dbałość o estetyczny wygląd książki, poprzez wprowadzenie w tekst książek ilustracji. Przypomina wreszcie poprzez swój duży druk — ten druk, za który tak serdecznie i szczerze dziękują czytelnicy w swoich listach do Redakcji; sprawił on, że „staruszkowie, którzy narzekali na drobny druk, od razu w bibliotece zasiadli i czytali ciesząc się, że nie muszą ubierać się w okulary”. Duży druk uczynił te książki bliskimi niedawnym analfabetom. Oto co pisze była analfabeta ze wsi Stawoguda:

„Już dawno się przekonałam, że człowiekowi łatwiej żyć, kiedy może — przeczytać, czytać, ogłoszenie, lub znaleźć coś, którym chce się zająć — ale nie myślałam, że będę mogła kiedyś czytać książki”. „Książka nowego czytelnika” umożliwiła jej to, pozwoliła poszerzyć świat, przeżyć o myśli i wzruszenia bohaterów literatury pięknej. W tym tkwi wielkie zwycięstwo wydawnictwa.

Dobra ilustracja — szczególnie w wydawnictwie tego typu, co „Książka nowego czytelnika” — jest rzeczą ważną i o tym powinniśmy bezwzględnie pamiętać wydawcy. W ilustracjach w sposób bezpośredni i o wiele sugestijniejszy niż np. we wstępie zawiera się przecież ideowy komentarz utworu. Mówiąc o wstępach i przypisach trzeba przypomnieć, że dobrze spełniają one stojące przed nimi zadania. Nie rezygnując z prawdy naukowej o pisarzu i utworze, potrafiały autorowie wstępów podać też prawdę tak, by agitowała ona swą bezpośrodkowością. Szczególnie cenne jest we wstępach to, że potrafiły odwołać się do społecznych doświadczeń czytelnika, do jego przeżyć i obserwacji wyniesionych z ustroju kapitalistycznego.

Ten typ komentarza okazuje się szczególnie skuteczny przy utworach wielkich realistów okresu kapitalizmu, przy utworach typu „Ulany” Kraszewskiego, „Szkieł węgłem”

Sienkiewicza, czy „Miłosierdzia gminy” Konopnickiej. W pamięci wsi polskiej zachowały się jak żywe czasy pańszczyźnianego i kapitalistycznego wyzysku, czasy Zolzi-kiewiczów i nieludzkich panów; stąd siła wzruszenia tych utworów jest szczególnie wielka, ich pasja oskarżycielska szczególnie bliska; stąd wyjątkowa funkcja społeczna tej literatury w rękę wiejskiego czytelnika.

W walce o ustrój socjalistyczny na wsi ten typ literatury spełnia ogromną rolę. Losy Ulany, Rzepowej i im podobnych bohaterów, poparte życiowym doświadczeniem starszego pokolenia, głęboko wstrząsają czytelnikiem, każą mu szukać przeciwności, a przeciwności nie to może mieć jedną postać: postać nowego twórcy życia. Realizm tych utworów, ucząc nienawistni dla ustroju klasowych — dla ustroju, które krzywdziły człowieka — tym samym uczu ułomowania nowego życia.

„Takie książki — piszą czytelnicy ze wsi Lechów o „Ułanie” Kraszewskiego i „Szkieł węgłem” Sienkiewicza — to warto słuchać, bo to są rzeczy prawdziwe, bo sami na własne oczy widzieliśmy, że tak było”.

O prawdę życia, o realizm w utworze literackim walczą — jak widzimy — nie tylko krytyka; walczą każdy, nawet najmniej wyrobiony czytelnik.

I nie ludzimy się, że temu najprostszemu, najmniej literacko wyrobionemu czytelnikowi uda nam się zamiast dobrej książki wetknąć w rękę zmiarę, namiastkę literatury. Ten czytelnik pozna się na niej tak samo, a nawet jeszcze szybciej niż krytyk. Ten czytelnik już się poznał. I o ile z zachwytem i szczerem wzruszeniem pisze i o książkach Kraszewskiego i Sienkiewicza, o nowelach Konopnickiej i pamiętnikach bezrobotnych, (których piękny wybór wydała „Książka nowego czytelnika”) o tyle głuchym milczeniem pomija współczesną literaturę polską.

Książki klasyków zachęcają do literatury, utrwalają świeżo zawartą przyjaźń z książką. Jeden z czytelników z woj. rzeszowskiego pisze: „Prusę wydawać takich książek jak najwięcej i wysłać na wieś, bo one umieją czarować ludzi”.

O współczesnej literaturze wydanej w ramach „Książki nowego czytelnika” nie napisano ani jednego serdecznego słowa. Ta literatura nie dotarła do wiejskiego czytelnika, nie zdobyła go sobie. Warto, by wydawcy zastanowili się nad tym, by pomyśleli dlaczego tak się dzieje. Bo przecież na pewno nie dla tego, by we współczesnej literaturze polskiej nie było książek „prawdziwych”, tych o których czytelnicy, tak jak o klasykach mogliby napisać „sami na własne oczy widzieliśmy, że tak było”. Takie książki w naszej współczesnej literaturze są. Jest ich wiele. Są takie książki o życiu w ustroju Polskiej kapitalistycznej, są o klasie wiejskiej, o Polsce ludu pracującego. Trzeba tylko by „Książka nowego czytelnika” pomyślała o nich, by zamiast nieciekawych reportażów, albo przynajmniej obok nich, wydała również dobre powieści współczesne.

Powtarzam: nowy czytelnik pozna się na nich, zrozumie je tak, jak rozumiał i ocenił piękno naszej klasyki. Trzeba, by o wydaniu najcenniejszych osiągnięć literatury współczesnej pomyślała redakcja „Książki nowego czytelnika”, jak najszybciej — tak, by IV etap konkursu czytelniczego, w którym weźmie udział przeszło pół miliona czytelników, mógł się na tych książkach oprzeć. Trzeba by nowy czytelnik mógł skonfrontować swe własne doświadczenia w nowej Polsce z doświadczeniami narodu. I w tym musi mu pomóc literatura,

TADEUSZ NOCŃ

BIERZMY PRZYKŁAD Z RADZIECKICH RADIOWEZŁÓW

J eżeli zapoznamy się z programami naszych radiowęzłów, to prawie zawsze stwierdzimy jedno: są one zbiornik miejscowych wiadomości i osiągnięć — lub rejestrem niedomagań. Na przykład radiowęzeł w Płocku we wrześniu ub. r. obok osiągnięć miejscowych zakładów przemysłowych, podawał również do wiadomości publicznej osiągnięcia plockich rolników. Między innymi w audycji z 18.IX. 1953 r. mówił o rolniku Zagłewskim z Makoliny, który jest produkującym hodowcą i na 4 ha utrzymuje 5 krów, podczas gdy 16 hektarów kulał Hipolit Wróblewski z Czyżewa posiada tylko 3 krowy. Oczywiście wiadomości takie są potrzebne, mają swoje znaczenie, ale czy radiowęzeł, podając te nagłe fakty do wiadomości, spełnił tym samym swoje zadanie? Bynajmniej.

Radiowęzeł — to nie tylko zbiornik wiadomości i rejestr osiągnięć klasy, która tworzy historię. Radiowęzeł — to narzędzie budownictwa socjalistycznego, środek kształtowania nowego człowieka przede wszystkim. Zagłewski w nowych warunkach politycznych, w warunkach rządów klasy robotniczej i chłopstwa pracującego, wyrósł na siłę twórczą, na produkującego hodowcę powiatu plockiego. Radiowęzeł plocki poprzestał na stwierdzeniu tego faktu. Ale przecież ten radiowęzeł służy i społecznym i indywidualnym potrzebom, służy klasie robotniczej i chłopstwu do dalszego wzrostu, rozwoju, postępu. Radiowęzeł powinien nie tylko rejestrować fakty i osiągnięcia, ale również je badać i propagować metody, na podstawie których zostały osiągnięte.

W ustroju socjalistycznym metody produkcji przestają być sprawą indywidualną, tajemniczą zawodową; stają się one własnością społeczną. Tego wymaga dobro narodu i interes społeczny. Cóż komu przyszło z chudej wiadomości, że Zagłewski na 4 ha hoduje 5 krów, a Wróblewski na 16 tylko 3? Czy w ten sposób rozwiązano zagadnienie postępu w gospodarstwie Zagłewskiego, a wrogoci u Wróblewskiego w stosunku do ustroju?

A zatem? Nasze radiowęzły są za mało aktywne. Ogromne ilości ważkich informacji i faktów nie potrafiły dotychczas wykorzystać, jako siły napędowej dalszego rozwoju.

Przyjrzyjmy się, jak pracują radiowęzły w Związku Radzieckim.

Lenin pisał: „Sądzę, że nie należy w żadnym wypadku szczędzić środków na doprowadzenie do końca sprawy łączności radiotelefonicz-

nej”... (Listy do Stalina o rozwoju radiotechniki). Rozwój radiotechniki pozwolił na urzeczywistnienie wskazań wytyczonych przez Lenina. W praktyce radio stało się jednym z najważniejszych środków politycznego wpływu partii na szerokie masy pracujących, zwłaszcza chłopstwa. Na przykład w latach 1949—1950 w jednym tylko obwodzie omskim zbudowano 305 radiowęzłów, żeby obsługiwać wsie i kolchozników. Radiofonizuje się nawet letnie obozy polowe i brygady traktorowych, zajęte pracą z dala od wsi.

Co robi radziecki radiowęzeł jeśli chodzi o wieś? Każdy radiowęzeł współpracuje ściśle z radiostacją obwodową. Ustala miesięczny plan audycji, które obejmują nie tylko komunikaty o miejscowych osiągnięciach, ale również całe cykle prelekcji zarówno na tematy polityczno-oświatowe, kulturalne, jak i produkcyjne w zależności od kalendarza rolniczego. Plany tych prelekcji wysyła się do wszystkich kolchozów i państwowych gospodarstw rolnych. Trudniejsze zagadnienia omawiają prelegenci studia obwodowego, doбирая spośród najlepszych specjalistów obwodu. Prelekcje te nadawane są przynajmniej raz w tygodniu. Przed mikrofonem radiowęzła występują produkujący chłopi, hodowcy, pracownicy brygad traktorowo-omłotowych i miczurinowcy danego rejonu, czy obwodu. Poznają oni słuchaczy z własnymi doświadczeniami, metodami pracy, sposobami uprawy i hodowli.

Nie dość na tym. Światlice i kluby współpracują ściśle z radiowęzłami, kółka wiedzy agrotechnicznej przy klubach i świetlicach organizują zbiorowe słuchanie audycji z dziedziny rolnictwa. Spośród agitatorów kolchozowych wyznacza się ludzi odpowiedzialnych za organizację zbiorowego słuchania wykładów. Treść wykładów radiowych omawiana jest zbiorowo w klubach i świetlicach pod kierunkiem agronomów lub agitatorów racjonalnego rolnictwa. Na żądanie zainteresowanych przygotowują oni odpowiednią literaturę wykładu, zapisują pytania kolchozników i udzielają odpowiedzi przed następną audycją.

Niejednokrotnie omawia się audycję na miejscu.

Praca radiowęzłów w ZSRR w formie pogadanki i prelekcji fachowo agronomicznej jest zsynchronizowana z pracą polityczną i odbywa się pod ścisłym nadzorem organizacji partyjnych. Partia kieruje pracą agitatorów postępowego

rolnictwa. Dla nich również radiowęzły mają co tydzień pogadanki. Przed mikrofonami stają najlepsi agitatorzy obwodowych radiostacji i dzielą się swoimi doświadczeniami w pracy. Referaty i pogadanki dla agitatorów wygłaszają odpowiedzialni pracownicy partyjni, najlepsi propagandyści. W szczególności zapoznają agitatorów z tymi zagadnieniami, nad których rozwiązaniem pracuje obwodowy Komitet Partii. W ten sposób praca w każdym kolchozie realizowana jest w myśl zasad ogólnej polityki państwowej.

Czy radiowęzły radzieckie zajmują się wyłącznie sprawami natury gospodarczej? Nie. Obok wiadomości ogólnopolitycznych przez radiowęzły płyną także informacje z dziedziny kultury i twórczości ludowej. Nierzadko przed mikrofonami radiowęzłów występują produkujące zespoły chórów i muzyczne. Wieś informowana jest stale o nowościach z literatury pięknej. Przez radiowęzły nadawane są również dyskusje produkujących czytelników nad radzieckimi książkami, względnie dyskusje nad wystawieniem sztuk przez zespoły amatorskie. Radiowęzeł ogarnia swoim zasięgiem całość życia wsi.

*

Metody pracy radzieckich radiowęzłów powinny być przyswojone przez nasze radiowęzły. W związku z ogólną linią polityki naszej Partii wynikającej z Tez IX Plenum w stosunku do wsi, powinny ulec zmianie ich sposoby pracy. Powinny przede wszystkim wyjść poza zakres tylko zbierania informacji, zwracając się do kronikarstwa naszego życia na wsi, a pogłębić pracę agitacyjno-wychowawczą. Powinno się dopuścić do mikrofonów tysiące produkujących w rolnictwie chłopów indywidualnych, członków spółdzielni produkcyjnych i pego-nerów oraz miczurinowców.

Nie wystarczy notowanie postępów chłopskich w cyfrach. Spoza cyfr powinien ukazywać się człowiek, jego ofiarność, zmysł organizatorski i wynalazczy. Wiadomość, że Zagłewski potrafi utrzymać na 4 ha 5 krów powinna, po jego pogadance w radiowęzle, stać się przedmiotem dyskusji w świetlicach, a nawet na ogólnych zebraniach chłopów w gromadach.

Radiowęzły trzeba zamienić w dzwignię gospodarczego i kulturalnego postępu wsi, w żywy instrument wychowania nowego człowieka w Polsce Ludowej.

STANISŁAW KRAKOWIAK

RADIO WOJEWÓDZKIE I TERENOWE RADIOWEZŁY

R adio jest cudownym narzędziem propagandy; może ono i powinno w pełni służyć interesom narodu budującego podstawy socjalizmu. Tym narzędziem posługiwać się powinni coraz częściej i lepiej wszyscy korespondenci czasopism robotniczo-chłopskich.

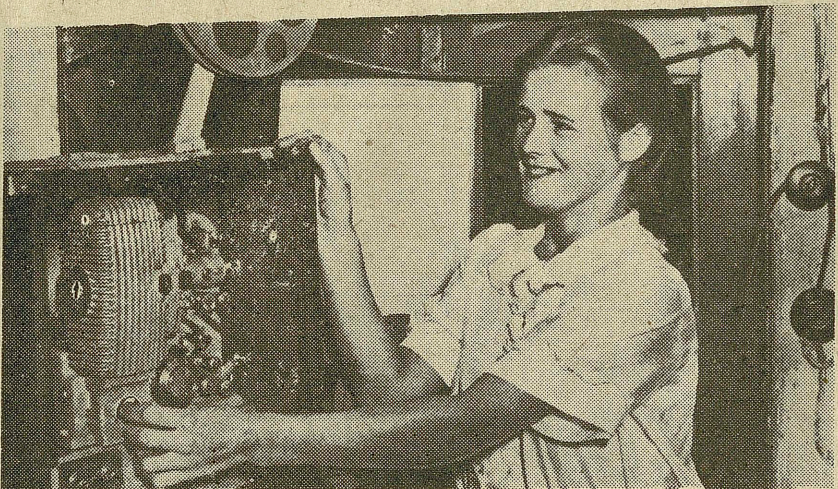
Jak się rozwija sieć korespondentów Polskiego Radia w Łodzi? Trzeba było dopiero VII Plenum KC PZPR, aby działacze radia łódzkiego, dostrzegli swe mankamenty. Stan korespondentów — w 1952 r. przedstawiał się bardzo mizernie. Z radiem łódzkim korespondowało 70 osób, w tym 66 z Łodzi i „aż” 4 z terenu województwa. Czterech terenowych, wiejskich korespondentów wykazywało, że radio łódzkie służyło tylko Łodzi.

Na dzień 13 grudnia 1953 r. do Radia Polskiego w Łodzi pisało już 617 korespondentów, w tym 176 korespondentów z terenu województwa. Wzrost ilości korespondentów z terenu z 4 do 176 świadczy o szybko wzrastającym zainteresowaniu wsi radiem. Można przewidywać, że po IX Plenum i w okresie II Zjazdu PZPR liczba korespondentów terenowych radia łódzkiego — zwłaszcza korespondentów chłopskich — wzrośnie w dwójnasób. O pozyskaniu setek korespondentów chłopskich bija się w tej chwili coraz lepiej rozwijające się radiowęzły terenowe.

Słabą jednak pomocą fachową nieśli komitetom redakcyjnym radiowęzłów pracownicy radia łódzkiego. Nie dziwnego, że np. radiowęzeł piotrkowski dał we wrześniu 12 audycji, w tym 3 o odbudowie Warszawy, 3 o przebiegu dożynek, kilka pogadanki i komunikatów i jedną audycję... o skupie zboża, w którym powiat piotrkowski przodował w województwie.

Poważna odpowiedzialność za zupełny brak pracy komitetu redakcyjnego w Koluśkach spada również na rozgłośnię łódzką. Trzy razy pracownik radia łódzkiego uzgadniał z prezydium MRN w Koluśkach terminy zebrania i trzy razy na nie nie przyjeżdżał. Zebrani członkowie projektowanego, przez prezydium nowego komitetu redakcyjnego rozchodzili się z pocutem, że radio łódzkie nie troszczy się zbytnio o los radiowęzłów.

Namiastem tam, gdzie pracownik rozgłośni łódzkiej dotarł i poinformował komitet redakcyjny radiowęzła, widać już poważne osiągnięcia. Przykładem dobrej pracy może być radiowęzeł wiejski w Gorzkowicach, w pow. piotrkowskim. Radiowęzeł ten systematycznie omawia aktualne wydarzenia w okolicy. Audycje są uteronowane; dużo w nich nazwisk wyróżniających się



gospodarzy w akcji skupu; nie brak nazwisk opornych i zalegających. Toteż skup w Gorzkowicach przechodził bez większych trudności. Radiowęzeł mobilizował, zachęcał, pouczał, uświadamiał, a kiedy było trzeba, krytykował — i to skutecznie. Przewodnicząca komitetu redakcyjnego radiowęzła w Gorzkowicach, Cecylia Nowak ze swadą opowiadała w czasie dyskusji zjazdowej o tym, jak chłopcy reagowali na audycję z radiowęzła. Oto jedna z gospodyń tłuła świniom kartofle, a tu z radiowęzła zaczęło wymienianić z nazwiska tych gospodarzy, którzy uregulowali już obowiązki wobec państwa. Na próżno czekała na nazwisko swojego męża. Zabolala ją to mocno i natarła na chłopca.

— Co ty sobie myślisz, stary diable? Dlaczego jeszcze nie zawiozłeś zboża? Przecież od kilku dni leży ono w stodole wymłócone! Jak bym ci paheła! ta kopystka przez łeb, to byś narazie zmądrzał. Innych wymieniała przez radio, a o tobie ani du-du. Zebys mi jutro wszystko zboże zawiozł do spółdzielni! I wstap do radiowęzła, żeby twoje nazwisko nie zapomniał ogłosić.

Dobre pracujące komitety redakcyjne są także w Ozorkowie, Wieluniu, Kutnie, Brzezinku. Bardzo słabo natomiast działały komitety redakcyjne w Sieradzu, Łęczycy i w mniejszych miasteczkach woj. łódzkiego. Tym najmniejszym lokalnym rozgłośniom należy się troskliwa opieka zarówno radia łódzkiego, jak i miejscowego prezydium, partii oraz organizacji masowych.

*

Co mi dał I Zjazd korespondentów robotniczo-chłopskich Radia Polskiego w Łodzi?

Zrozumiałem, że moje wzrastające z każdym niemal dniem zainte-

resowanie dla pracy radiowęzła terenowego jest słuszne. W gminach, bowiem, w miasteczkach i gromadach leży punkt ciężkości pracy związanej z realizacją wytycznych IX Plenum. W rozgłośni łódzkiej dadzą sobie radę z adycjami wiejskimi. Audycje opracowane przez Józefa Mozga, Stanisława Moskwa, Bronisława Saludę i innych cieszą się dużą popularnością na wsiach. Gdyby radiowęzły transmitowały program rozgłośni łódzkiej! — Niestety! Radiowęzły Koluśki, Ujazd i wiele innych pracuje na Warszawie I.

Trzeba usprawnić pracę komitetu redakcyjnego radiowęzła. Stąd od pół roku trwająca kampania o zorganizowanie planowej pracy radiowęzła w Koluśkach. A praca tego radiowęzła, mimo braku zespołu redakcyjnego i braku kierownika programowego, ma już pewne osiągnięcia. Przede wszystkim systematyczność nadawania audycji (co-dziennie godz. 17.50), dobry zespół lektorów ZMP-owców ze szkoły ogólnokształcącej z Koluśzek i zwiększające się grono korespondentów. Przed rokiem tylko ja jeden byłem korespondentem; dziś liczba współpracujących z radiowęzłem przekroczyła pierwszą dziesiątkę! Na razie najwięcej wśród korespondentów młodzieży i nauczycieli. Ale zaczynają już pisać pracownicy prezydium gminnych rad narodowych, kierownicy bibliotek i inni.

Trzeba zdobyć korespondentów produkujących chłopów, którzy dzieliliby się ze słuchaczami naszej lokalnej rozgłośni doświadczeniami z zakresu uprawy roli, hodowli bydła, trzody chlewnej i kur. Zadanie to podejmuję w czynie na II Zjazd PZPR. Chcę spełnić rolę korespondenta polskiego radia — współorganizatora terenowego radiowęzła ważnej placówki kształtującej świadomość polityczną wsi.

KRONIKA RADZIECKA

CO PLANUJA CZASOPISMA LITERACKIE NA ROK 1954

T akie czasopisma, jak „Nowy Mir”, „Oktabr” itp. odgrywały w ZSRR kluczową rolę w zakresie życia literackiego: wszystkie wybitne dzieła, prace teoretyczne i dyskusje publikowane są na łamach tych poczytnych periodyków. Warto zapoznać się z planami czasopism radzieckich na rok 1954.

„Nowy Mir” zapowiada przetrząść część autobiograficzną trylogii T. Gladkova, dalszy ciąg „Powieści o dzieciństwie” i „Wolnicy”. Ludzimi pokojowej techniki radzieckiej poświęcona będzie powieść A. Bekas „Młodzież”. owe dzieła dadzą Szolochow i Fadiejew.

Część krytyczna przyniesie materiały, związane z zapowiedzianym II zjazdem pisarzy radzieckich. Szczególnie potraktowany zostanie „Dziennik pisarza”, publikujący ciekawe artykuły i wypowiedzi na temat warsztatu pisarza. Jak zawsze na pierwszych pozycjach znajdzie się publicystyka. „Nowy Mir” będzie prowadził dalej wyczerpujący przegląd wydarzeń kulturalnych i politycznych, wreszcie szerokie omówienie książek uzupełni każdy numer.

„Znamia” zapowiada szereg reportaży i szkiców, które w formie literackiej poinformują, w jaki sposób ludzie radzieckie realizują wskazania dziesiętnego Zjazdu Partii. Bogato przedstawia się dział prozy. M. Rybak w powieści „Na zawsze z Moskwą” przedstawi dzieje połączenia Ukrainy z Rosją przed 800 laty. A. Sachnin („Chłmy przed braskiem”) opowie o bohaterstwie koreańskich patriotów. M. Tichonow w powieści o Pakistanie podejmie zagadnienie walki narodo-wyzwoleńczej. T. Panfierow da dalszy ciąg powieści „Wołga matka rzek”. Młoda pisarka K. Arganowa („Drzwi szeroko otwarte”) ukaze oblicze moralne ludzi radzieckich. Nowe utwory dadzą M. Czukowski („Niebo bałtyckie”) i K. Paustowski („Złota róża”).

W dalsze krytyki warto odwołać zapowiedzianą publikację dzienników Piotra Pawlenki, które odsłonią tajemki warsztatu twórczego, jak również zapamiętania autora powieści „Szczęście” na wieloletni problem radzieckiego życia. „Oktabr” kładzie główny nacisk na wydobycie nowych kadr literackich. Dział prozy reprezentowany będzie nazwiskami trzydziestu pisarzy. M. in. opublikowane zostaną: powieść młodego pisarza W. Riewunowa o geologii, młodych Stalingradzkiej Hydroelektronii, dalszy ciąg cyklu prozatorskiego A. Koptajewej, powieści S. Babajewskiego („Miłość”), A. B. Popowa („Wytop”), „Buna pisarza” przygotowanej cykl rozpraw krytycznych o twórczości Szolochowa, Fiedewa, Twardowskiego, Surkowa, Fadiejewa, Leonowa, Gribaczowa i in.

„Zwiewda” stawia sobie za cel m. in. rozbudowę działu noweli. Każdy numer będzie zawierał opowiadania. Również szeroko zostanie potraktowany dział reportażu i szkiców. W tym celu przyniesie szkic W. Karpa „Nowe oznaki”, o nowym życiu w Związku Radzieckim po wrześniowych uchwałach Plenum KPZR.

PLAN YWYDAWNICTW

RADZIECKICH NA ROK 1954

W ydawnictwa radzieckie przed zatwierdzeniem planów wydawniczych przeprowadzają szerokie dyskusje z udziałem aktywów czytelników, bibliotekarzy i pracowników instytucji kulturalnych i oświatowych. Wyniki narad pozwalają ściśle dostosować plan wydawniczy do potrzeb i gustu szerokiej masy.

P aniśkowe Wydawnictwo Literatury Pięknej napawione jest głównie na klasyków. Konferencje z czytelnikami wyjaśniły, że istnieje ogromne zapotrzebowanie na pełne wydania dzieł i wybory. Czytelnik radziecki kompletuje bibliotekę, nie chce książek wydanych przypadkowo i oprawionych byle jak.

W trosce o zaspokojenie tej potrzeby PW PL planuje pełne wydanie dzieł klasyków rosyjskich W. Gajda, Michajłowskiego, K. Stanisławskiego, N. F. Ponomarewskiego, A. Mielnikowa-Pieczerskiego; z obcych J. Verne'go, Jacka Londona i Orzeszkowej. W wyborze ukazały się Pułskini, Lermontow, Błusow, Dickens, Maupassant, Kupcin, Niekrasow. Wartościowym osiągnięciem wydawnictwa będzie wprowadzenie ilustracji artystycznych do szeregu dzieł i kunsztowna oprawa. Niektóre dzieła (Turgieniewa, Korolenki, Romanowa, Kierkegarda) ukazać się będą bogato ilustrowane.

Wydawnictwo „Pisarz Radziecki” da w r. 1954 przeszło 200 tytułów różnych książek o ogólnym nakładzie 7 milionów egzemplarzy. Współczesna tematyka zajmie ponad 130 pozycji.

Temat wsi kochozowej podejmą powieści M. Stelmacha („Nad Czeremosem”), Sz. Raszidowa („Zwycięzcy”), N. Czertowej („Drogi wędrownicy”), J. Kienko („Kolchoznicy”), F. Pierwieńowa („Urodzaj”), W. Tiendrakowa („Wśród lasów”), G. Trojeplowskiego („Zapiski agronoma”), T. Zurawiewa („Kombajnowy”).

Wśród zapowiedzi pozostałych godne są uwagi powieści W. Panowej („Pory roku”), Panfierowa, A. Pierwieniewa, Rybakowa („Samotna kobieta”), księga opowiadań Paustowskiego, powieści historyczne Sajanova („O zesłaniu Lenina”), Nikulina, Owczarenki i in.

Wydawnictwo zredaguje dwutomowy wybór opowiadań radzieckich oraz zbiór „Satyra i humor”.

Literatura piękna w republikach reprezentuje wielu pisarzy o ogólnym nakładzie miliona egzemplarzy.

Zapowiedziane zostały debiuty A. Barysznikowa („Ludzie pragną szczęścia”), N. Dawydowa („Drogi wędrownicy”), J. Kienko („Kolchoznicy”), F. Pierwieńowa („Urodzaj”), W. Tiendrakowa („Wśród lasów”), G. Trojeplowskiego („Zapiski agronoma”), T. Zurawiewa („Kombajnowy”).

Zagadnieniem mistrzostwa prozy poświęcone będą liczne prace. Wyjdzie książka pt. „O prozie” (twórczość Aleksandra Gorkiego w radzieckiej epoce). Elsbęga (Dziesięć Gógola i Szczerdina, a satyra radziecka), Adronnikowa (Rok życia Lermontowa), Fajnbęga (Niezakochane prace Puszkina).

Wydawnictwo Literatury Obcej planuje opublikowanie 175 przekładów z dziedziny nauki, polityki i literatury.

M. in. wyjdą powieści węgierskie (T. Azala), czeskosłowackie (Pujmanowej), brazylijskie.

Z zakresu nauk ścisłych zaplanowane zostały przekłady prac postępowych uczonych amerykańskich i angielskich. 20 książek traktuje o biologii i agrotechnice.

Z tematyki społeczno-politycznej warto odnotować takie tytuły, jak „Nowa historia Chin, 30 lat komunizmu” Gromyko „Sekretarz Gorkomu” i E. Koratowa „Na brzegu Czeremosem”. Specjalna seria zajmie się pracą młodzieży radzieckiej na wsi.

Rozszerzony zostanie dział literatury fantastyczno-naukowej i podrocznik.

Powieści o takiej tematyce — „Ziemia siedmiu traw” (o przygodach radzieckich geologów), „Tajemnica Czerwonego jeziora” (o badaczach tajgi), „Lodo-wata wyspa” (o wykorzystaniu energii atomowej dla pokojowych celów) itd.

Dalej będzie ukazywała się „Biblioteka podróży”.

Wyjdą też książki na tematy sportowe, opracowania o wykorzystaniu witalnych ludzi”. Wystąpi cały szereg młodych pisarzy.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

WŁADYSŁAW MISIUNA

DOŚWIADCZALNICTWO

Książka, broszura popularno-naukowa, gazeta fachowa i przystępnie popularyzująca wiedzę rolniczą, pogadanka radiowa, czy też wygłaszana przez lektora bezpośrednio w gromadzie — wszystko to są powszechnie stosowane formy propagandy rolniczej. Z tych form, rzecz jasna, nie wolno rezygnować. Ale formy te dzisiaj już nie wystarczą, kiedy idziemy z szerokim programem walki o wzrost produkcji rolnej do całej wsi. U części bowiem chłopów jeszcze nie przywykłych do czytania i naukowych wskazówek rolniczych i odnoszących się nawet z niedowierzaniem do słowa pisanego, rozstrzygającym będzie zawsze żywy przykład z praktyki, sprawdzony na polu sąsiada. Taki przykład daje właściwie wykorzystana forma propagandy nauki rolniczej: doświadczalnictwo.

Ta pożyteczna i skuteczna forma propagandy wiedzy rolniczej nie jest jeszcze w dostatecznym stopniu popularyzowana na łamach naszych czasopism. Z reguły nasze czasopisma omawiają tylko doświadczalnictwo kół mierzyniowskich. A przecież doświadczalnictwo, a przede wszystkim doświadczalnictwo masowe — jest prowadzone od kilku już lat przez Oddziały Upowszechnienia Wiedzy Rolniczej Wydziałów Rolnictwa i Leśnictwa Wojewódzkich Rad Narodowych, które nagromadziły już sporo doświadczeń przemawiających za upowszechnieniem tej formy.

Przyjrzyjmy się wynikom stosowania tej formy propagandy rolniczej w województwie poznańskim.

W 1952 r. zaplanowano w województwie 1200 doświadczeń na ob-

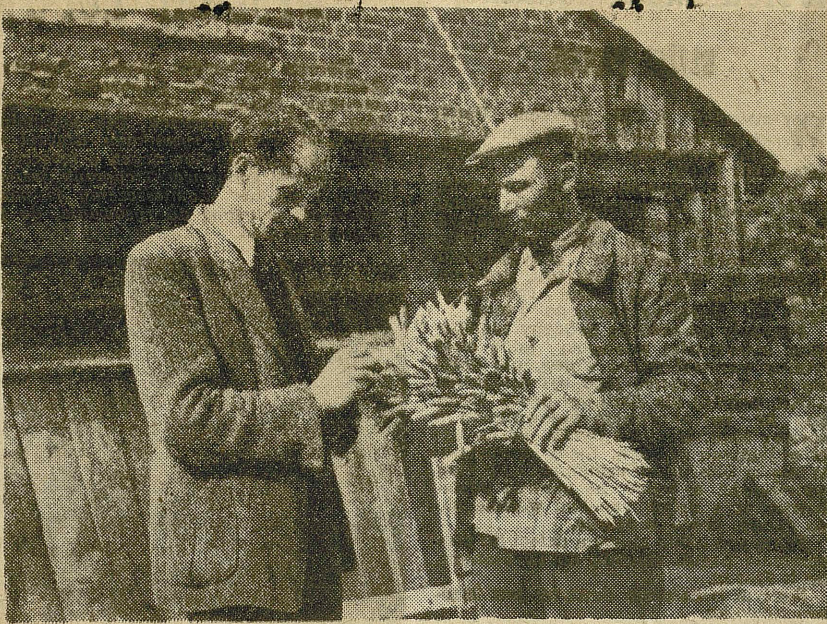
szarze 80 ha, w tym 26 doświadczeń ścisłych w czterech powiatach. Były obawy, że plan nie będzie wykonany, bo nie znajdzie się tylu chętnych chłopów do prowadzenia poletek doświadczalnych. A tymczasem z własnej inicjatywy zgłosiło się i prowadziło doświadczenia 1825 osób. W 1953 r. zaplanowano więc 3000 doświadczeń (biorąc pod uwagę zainteresowania chłopów), a zgłosiło się amatorów do prowadzenia 5000 doświadczeń na powierzchni 1000 ha. Nawet w dziedzinie hodowli, gdzie są znacznie większe opory z wprowadzeniem nowych metod, zorganizowano 233 doświadczenia.

Jak wynika z podliczenia notatek prowadzonych przez doświadczalników poznańskich, w r. 1952 gościli oni u siebie 800 tysięcy, a w r. 1953 — ponad 1,5 miliona zwiedzających poletek chłopów ze swoich i okolicznych gromad. O czym to świadczy? Świadczy to o dużym zainteresowaniu chłopów praktycznymi zdobyczami nauki rolniczej.

Charakterystyczne jest, że taką liczbą uczestników nie mogą się pochwycić zebrania szkoleniowe prowadzone przez lektorów UWR w 2145 punktach, chociaż tematyka pogadek jest bardzo starannie dobrana do najpilniejszych potrzeb gospodarskich chłopów.

Należałoby więc organizować punkty szkoleniowe na miejscach prowadzonych praktycznych doświadczeń bądź odwrotnie, uznając „tablice poglądowe”, którymi posługują się lektorzy, za lepsze nawet niż film oświatowy, który, niestety, za słabo dociera do gromad.

Tymczasem w większości wypadków lektorzy UWR, służba rolna rad narodowych i aparat agrom-



iczny POM-ów nie interesują się doświadczalnictwem i nie okazują chłopom potrzebnej pomocy. Agromomowie POM-ów, pracujący przecież bezpośrednio w spółdzielniach produkcyjnych, w ub. r. skontrolowali doświadczenia tylko w 20 spółdzielniach — gdy doświadczalnictwem objęto w województwie 184 spółdzielnie produkcyjne!

Powstała paradoksalna sytuacja: Powołani do propagowania wiedzy rolniczej i nowoczesnych metod produkcji rolnej lektorzy UWR z rad narodowych i POM-ów skazują się, że chłop nie odczuwa głodu wiedzy rolniczej, są jej nawet niechętni, „bo nie przychodzi masowo na pogadanki lektorskie”, podczas kiedy mamy do czynienia z krzyżącym głodem wiedzy rolniczej, który u chłopstwa wyraża się w zainteresowaniu dla doświadczalnictwa, do praktycznych przykładów, ogła-

danych na polach sąsiadów, a także na organizowanych ostatnio wystawach rolniczych.

Nasi lektorzy zapominają o tym, że chłop — to realista. Zanim przekona się on do zalecanej uprawy czy metody produkcji, chce to przed tym sprawdzić.

W propagowaniu doświadczalnictwa i w jego umasowianiu mogą i powinny brać udział szkoły rolnicze, kół mierzyniowskie, a także wszystkie inne szkoły na wsi i ośrodki szkoleniowe. W województwie poznańskim poza Wyższą Szkołą Rolniczą (która sama prowadzi ścisłe i masowe doświadczalnictwo i opiekuje się prowadzonymi w terenie) jest 21 szkół rolniczych, około 100 rolniczych kół mierzyniowskich oraz 2147 innych szkół na wsi. Rozmieszczenie doświadczeń w województwie wykazuje, że szkoły a nawet kół mierzyniowskie, nie biorą dostatecznego udziału w propagowaniu drogi doświadczalnictwa wiedzy rolniczej na wsi. Całkowity jest brak doświadczeń łanowych w szkołach rolniczych, które prowadzą własne, z reguły większe gospodarstwa, w których młodzież uczy się zawodu rolniczego, przodujących metod uprawy i hodowli. Podobnie przedstawia się sprawa z doświadczeniami w hodowli.

Doświadczenia w hodowli prowadziły dotychczas (w sumie 233) wyłącznie spółdzielnie produkcyjne, a doświadczenia łanowe w sumie 800 (na obszarze 962,5 ha) — prowadziły spółdzielnie produkcyjne i 17 (na obszarze 22,6 ha) indywidualne gospodarstwa chłopskie. Na 1713 doświadczeń propagandowych w województwie 140 prowadziły spółdzielnie produkcyjne, 1078 indywidualne gospodarstwa chłopskie (w 170 miejscowościach), 235 kół mierzyniowskich (w 42 miejscowościach), 74 szkoły rolnicze (w 9 miejscowościach) oraz 186 szkół podstawowych na wsi (w 126 miejscowościach).

Na tym tle także wymownie rysują się stosunek chłopów do tej formy podnoszenia kwalifikacji fachowych i samej produkcji, jakim jest naukowe doświadczalnictwo!

Szkoły, nauczycielstwo, a zwłaszcza szkoły rolnicze — powinny w dziedzinie swoich obowiązków, wynikających z zadań postawionych przez IX Plenum we wszechstronnej pomocy chłopom pracującym w przemianowaniu starych metod i nawyków produkcji w zdobywaniu wiedzy rolniczej. A doświadczenia prowadzone przez chłopów, dają przekonujące przykłady, z których nie tylko chłopci powinni się uczyć; warto uczyć się o nich również i lektorów UWR, i szkół rolniczych, nie dostatecznie widzących radość objawu zapobiegliwości i gospodarności chłopów, wyrażające się w jego garści do doświadczalnictwa.

LESZEK BAKUŁA

Budujący przykład bohaterstwa

PROSTOTA prawdy i gorący uciskiem podbija nas wybór pism Fuczika pt. „O bohaterach i bohaterstwie”. Szczególne znaczenie dla czytelnika wiejskiego mają reportaże z pobytu w ZSRR, w których autor obrazuje walkę o kolektywizację. „Czytalam — pisał o tej książce ob. Anna Smolik z gromady Wygiełzów w pow. chrzanowskim — jaka wielka była kolektywizacja w ZSRR, jak kler reakcyjny straszył ludność z ambony przed przystąpieniem do spółdzielni, jak dziadka Cichożabę zabiła jego własna żona pod wpływem popów za to, że wstąpił do spółdzielni. Ten argument wykorzystywały partyjne i gromadzkie”. Zebrani wtedy chłopci przynajmniej rację, że istotnie reakcyjna część kleru na wsi prowadzi wroga robotę przeciwko spółdzielczości produkcyjnej.

Książka Fuczika pomogła omówić problem, mający w Wygiełzowie duże znaczenie, ponieważ jak pisał ob. Anna Smolik: „Stabiej nam idzie organizowanie spółdzielni na wsi, gdyż przeszkadza nam kler i ich pupilki”. Ale bitwę wygra gromada — wnioskuje razem z autorką wypowiedzi, bo pomimo tych i innych przeszkód stosowanych przez wrogów na drodze rozwoju, ma ona za sobą poważne osiągnięcia. Pierwsza w gminie wykonała dostawy obowiązkowe zboża, a 5-ciu chłopów: Fr. Deszcz, Wincenty Czernik, Jan Piekarczyk i inni otrzymali za to dyplomy, zaś 31 chłopów zostało wyróżnionych.

Taka gromada przy dalszej dobrej pracy organizacji partyjnej, zespalanej się coraz mocniej z polityką państwa i partii, szybko dojdzie do wyższej formy — gospodarowania spółdzielczością.

O ile w Wygiełzowie książka Fuczika da naszej gromadzie broń do ręki w walce z reakcyjną częścią kleru, o tyle w gromadzie Franciszkowo, pow. złotowskiego była doskonałym orężem w rozprawianiu się z plotką, oszczerstwem, kłamstwem o ZSRR — o kraju, gdzie zrodziła się i wspinała rozkładająca się kolektywna na wsi. „Pamiętam — pisał ob. Leon Nowicki z Franciszkowa — jak to jeszcze przed księżką wrześ-

niową nie tylko czeska burżuazja, jak opisuje Fuczik, ale i nasza rzucała oszczerstwa i kłamstwa na Kraj Rad o rzekomym głodzie, że ubra-nych ludziach itp. Sam miałem możliwość przekonać się naocznie będąc w ZSRR w 1940 — 45 r., że było to oszczerstwem rzuconym przez burżuazję.

Te zdania potwierdzają ustami polskiego chłopu obraz życia w ZSRR, jaki dają reportaże czeskiego pisarza Prawda w jego książce i wypowiedzi jego czytelników służą dziś sprawie propagowania spółdzielczości produkcyjnej. Ob. Bolesław Zapolski, który był niedawno w ZSRR, często opowiada w swej wsi Łanowice Małe: „Najlepiej mi się spodobała hodowla bydła, trzody chlewnej i koni”. Zapolski nie tylko tak mówi, ale zachęca do bohaterstwa i osiągnięć radzieckich kolechożników, zabrał się do pracy nad założeniem spółdzielni. Niemalym bodźcem do tego była dla niego książka Fuczika. Zapolski nie tylko brał przykład z bohaterów książki — ludzi radzieckich; ujęł go przede wszystkim piękna postać samego autora. „Choć jestem mało uczony — mówi — zrozumiałem, że powinniśmy wszyscy brać przykład z życia Juliusza Fuczika”.

Jak z tego wynika książka „O bohaterach i bohaterstwie” potrzebna jest w każdej wiejskiej bibliotece, żeby jak w Wygiełzowie, Franciszkowie i Łanowicach Małych pomagać w zwalczaniu wpływu reakcyjnych, kłamstw i oszczerstw. Jest ona celną bronią w walce o spółdzielczość produkcyjną, choć to tylko jeden z poruszanych przez nią problemów. Przez przykłady związane z zagadnieniem kolektywizacji władz szeroka funkcja, jaką spełnia książka.

Książka „O bohaterach i bohaterstwie” służy naszym bohaterom pracy w budowie socjalizmu w mieście i na wsi, w ich prostych codziennych czynach. Według Fuczika: „Bohater — jest to człowiek, który w decydującym momencie odda wszystko, aby zrobić to, co powinien zrobić dla dobra społecznego”.

„WIEŚ” PISMEM AKTYWU TERENOWEGO

(Dokończenie ze str. 4)

pewnej mierze skorzysta, co zresztą już znalazło swój wyraz — przed ukazaniem się artykułu — w numerach listopadowych, a pogłębiło się w numerach grudniowych.

Niemniej twierdzenie autora, czy wypowiedzi Erenburga „O pracy pisarza”, przeznaczone są dla mierzyniowców lub pracowników GS, jest moim zdaniem co najmniej nie na miejscu...

Kol. Bartelski zarzuca, że „Wieś” podaje w jednym warku okruciny cennych rzeczy pomieszczone z sieczką. Odnoszę wrażenie, że gdyby autor zdał sobie sprawę z tego, do jakiego stopnia zdaniem tym obraża „pół kopy pisarzy i korespondentów wiejskich oraz ponad parę tuzinów debiutantów” to by się starał być w swych wypowiedziach bardziej delikatny. „Wieś” jest dla wsi, nie dla miasta. Na wsi mało jest literatów i pisarzy, więcej jest tam korespondentów, gawędziarzy i milczących działaczy. Czy treść pisma „Wieś” jest zła, czy dobra, to sprawa większości jej czytelników rekrutujących się ze wsi.

Krytyka jest bardzo wskazana, ale krytyka zdrowa, rzeczowa, wnosząca coś nowego i mobilizująca. Niestety, wypowiedzi kol. Bartelskiego w artykule „Czy wieś czyta „Wieś” nie można uważać za krytykę zdrową i mobilizującą.

Tyle na temat obrony „mojego” pisma.

Będąc jak gdyby przy głosie, pragnę i ze swej strony coś pod adresem „Wsi” dodać. Chodzi mi mianowicie o to, aby zamiast umieszczanych czasem cało-stronicowych fragmentów powieści, redakcja umieszczała po kilka jasnych i treściwych recenzji o nowo wydanych książkach pisarzy polskich, omawiających problemy i sprawy regionalne. Chodzi w danym wypadku o popularyzację i to we wczesnym terminie — tego rodzaju książek, jak: Morcinka „Pokład Joanny” czy „Urodzaj ludzi”, Warnieński — „Domem naszym las głęboki”, czy „Czerwona kokarda”. Książki te giną bowiem wśród tysięcy innych, corocznie wydawanych — i działacz społeczny często dowiaduje się o nich, jak o przysłowiowej musztardzie po obiedzie.

Na założenie wyrażam przypuszczenie, że jeśli „Wieś” rozszerzy i pogłębi „problematykę życia społeczno — kulturalnego”, to nie uczyni tego za zbyt wielką szkodą dla zagadnień politycznych, ekonomicznych i literackich, gdyż stała by się wówczas rejestratorem przejawów życia społeczno — kulturalnego lub innym wydaniem Poradnika Świetlicowego. A to by też nie było wskazane.

Porąbka, 26 grudnia 1953 r.

Jan Jelonek

JANINA KRAUSOWA

W nadmorskiej świetlicy

W latach międzywojennych, około 1930-go roku, kiedy rybak polskiego Wybrzeża znali już dobrze słowo „krzyż”, bo nieraz im wypadało wrzucić z powrotem do morza niezakupiony połów — rybak z półwyspu helskiego, Gerard Kąkol napisał taką piosenkę, mocno związaną z rybackim życiem:

Nasza rybacka Jastarnia
nad wielkim morzem leży,
mieszkają w niej sami rybacy
strzegący swoich wiewiórek.

O wschodzie słońca do swych
płyną na morze rybacy,
O skórze chleba żyją dzień cały,
wieczór wracają po pracy.

Niejedno dziewczę traci chłopca,
niejedna żona — wdowa,
bo kiedy fala łódź przewraca,
nikt nie uchodzi zdrowo.

Piosenkę Gerarda Kąkola można usłyszeć dziś w świetlicy spółdzielni rybackiej „Gryf” w Wielkiej Wsi — jednym w najbardziej cennych ośrodków życia kulturalnego Kaszub. Spółdzielnia ta powstała niedawno, ale pracuje dobrze dzięki ludziom, którzy nią kierują, którzy potrafili przyciągnąć do świetlicy zarówno starych rybaków, jak i kaszubską młodzież. Jednym z takich magnesów jest stary szpexer Gola, dobrze pamiętający czasy, kiedy razem z innymi rybakami żył się

cały dzień skórką suchego chleba. Dla tego dzisiaj — na przekór złym wspomnieniom — jest przodownikiem pracy w rybackiej spółdzielni. Czas wolny od pracy, wraz z rówieśnikami — starymi wilkami morskimi, spędza w świetlicy i chętnie opowiada o zlej dawnej doli helskich rybaków. A że Gola jest zamikawym, gawędziarzem i muzykantem, ubarwia dawne wspomnienia odgrzebaną w pamięci piosenką — o choćby taką, jaką była piosenka rybaków z Jastarni.

Spółdzielcy z Wielkiej Wsi potrafili od wspomnień przejść do tworzenia na skromnym na razie odcinku swojej wsi i swojej świetlicy — nowej, kaszubskiej kultury.

Pracą młodego, kształtującego się zespołu pokierował świetlicowy „Gryf” Mikołaj Serebnyński. Wykorzystał on zamiłowania kulturalne starych rybaków, przyciągnął młodzież, zakładając zespół muzyczny; w ten sposób stworzył ze świetlicy miejsce spotkań całej osady — ognisko, z którego promieniały nowe, żywsze myśli, przekształcające życie rybackiej osady. Tak np. atrakcyjność świetlicy była skuteczną bronią w walce z alkoholizmem, szerzącym się nagminnie w spółdzielni.

Najważniejsze jest jednak to, że Serebnyński stworzył w świetlicy „Gryfu” regionalny zespół kaszubski o specyficznym rybackim charakterze. Wspólnie z młodzieżą rybacką opracował już tradycyjne fałszy kaszubskie „Rubok” i „Szewiec” oraz najstarsze pieśni. Na uwagę i na-

śladowanie zasługują nowatorskie metody pracy ambitnego zespołu artystycznego. Podzielili się on na trójki zwane „trójkami łączności”. Zadaniami ich jest wydobycie od najstarszego, wymierającego już pokolenia — zapomnianych pieśni, piosenek, znanych już przed wiekami melodii — i opracowanie na nowo ongiś popularnych, a teraz mało komu znanych rybackich wierszy i frantów. Pragną oni oprócz repertuaru zespołu świetlicowego na regionalnej rybackiej twórczości i pokazać ją społeczeństwu ciekawą i bogatą.

Świetlicowy w spółdzielni „Gryf” i kierowany przez niego zespół idzie szlakiem obroną drogi. Dąży on do wydobycia i troskliwego przekazania dalszym pokoleniom ludowej kultury Kaszub.

Inicjatywa młodych Kaszubów wyrosła w czasie wspólnej pracy w świetlicy, mającej dobre warunki lokalowe, wygodne, estetyczne urządzone wnętrze, dużą bibliotekę i własne instrumenty muzyczne.

Istnieją więc wszelkie warunki po temu, by świetlica w Wielkiej Wsi stała się żywym ośrodkiem rybackiego folkloru, ośrodkiem promieniującym na całe Kaszuby. Trzeba się więc nią serdecznie zaopiekować, pomóc pełnym zapału zbieraczom kaszubskiego folkloru, nadać ich poszukiwaniom określony kierunek.

Polecamy nadmorską świetlicę działaczom kulturalnym Wybrzeża, by moc cieszyć się jej doniosłymi, mającymi wcale nie lokalne znaczenie.

Z pamiętnika kierownika świetlicy (3)

SPRAW...

tańcówce skrytykowałibyśmy coś? Takimi śmiesznymi przysłówkami... Mówcie, dajcie temat; może do wieczora coś napiszę i zacytuje.

Nie odezwał się nikt. Jakby wody do ust nabrali.

„Rozwiązuję” się wam języki, przyjdzie czas! — pomyślałem.

2.V. Na 1 Maja nie otrzymaliśmy radia, którego świetliczanie tak się spodziewali. Ale nastroj był radosny, defilada i akademia udały się. W remizie na akademii było ponad 500 ludzi. Na defiladzie chyba ponad półtora tysiąca. Jednym słowem zacofana nasza wieś czuła, że to Święto Pracy.

Potem była zabawa, ale na wolnym powietrzu. W świetlicy miałem tylko Kazika Stokowskiego, który tańczył nie lubi; szuka on zawsze sposobności, aby być blisko mnie, moc ze mną rozmawiać jak najwięcej. Ani śladu z dawnego mruka!

Co słychać? — pytam.

Ano, tyram u Kowala.

Jak długo jeszcze bedziesz taki duren?

Tata chce żebym został kowalem, to trudno...

W Łodzi uczeń dostaje tyle, iż z zarobku może się jako tako utrzymać.

Ba, w Łodzi!

Nie idź kilka dni do roboty, zobaczysz, że majster namyśli się, żeby ci płacić.

CZESŁAW SCHABOWSKI

WYJAŚNIA SIĘ WIELE

16.IV. Prosił mnie Kowalczyk, abym zezwolił zetempowcom na urządzanie w każdą niedzielę i święto czegoś w rodzaju wieczorku tanecznego, oczywiście bez opłat za wstępy. Młodzież złożyła się na harmonistę i bębniście — i to wszystko. Zgodziłem się. Przecież w przerwach między tańcami można coś zacytować, a nawet wygłosić pogadankę.

18.IV. Świetlica żyje jutrzejszą potancówką.

Mogłem odpocząć. Było ciepło; wieczorem staliśmy na moście nad fosą. Opowiadaliśmy mi chłopcy o Karzniczkim, że stał on na tym moście co dzień, stukał łaską i zwał biał tym pod most tak oswojone karpie, że potrafiły jeść z jego ręki.

Dlaczego teraz w fosie nie ma ryb? — pytam.

Goliński twierdził, że się nie opłaca, że tu się nie nie uchowa, bo za dużo cienia. Ale to nie prawda. Szkodnik i tyle! Ot, ma pan, jak było z ogierami...

Jeden z chłopów szturchnął mego informatora pod bok i tamten zamilkł. Postanowiłem Marchewkę — wesółka pociągnąć w tej materii za język. Oczywiście jutro, pod trzema debami.

20.IV. Nadszedł wieczerz. Wczorajszy wieczorek taneczny zdał egzamin.

Przed południem przyszli: Kuliński, Perdek, Kowalczyk, Cyrułk, jeden z licznych Rysów, Tadek —

mechanik GOM oraz Marchewka-wesołek; wyciągali mnie na polankę pod trzy dęby. Tutaj w rozmowie padło pod moim adresem takie zdanie:

— Jak z pana literat, skoro pan nie pisze korespondencji do gazet?

Bartoszewski i Sionkowski nalegali na mnie, abym zaczął demaskować tutejszą kacykowską klikę korespondencjami. Nacisk się wzmacnia.

— Ja nie umiem pisać tak na „lubud”, koledzy! Jestem w Partii, jestem członkiem egzekutywy i w Komitecie na zebraniach spotykam się z ludźmi, o których należałoby napisać. Skoro jednak mam nadzieję, że ludzie ci zmieniają się pod wpływem naszych nalegań i krytyki na zebraniach, po co zatem używać tak drastycznego środka, jak publikacja?

— To pan naszych kacyków nie zna. Zobaczyć pan, że tak zaleją panu sadła za skórę, że potem i korespondencja nie pomoże.

No dobrze! Ale wy też przecież powinniście mieć wiele do powiedzenia! Zażalście gazetkę ścienne, ja wam pomogę, pokieruję redakcją. Tylko, żeby to od was wyszło, nie ode mnie. Ja mogłbym i co dzień zredagować jedną gazetkę, ale najgoręcej pragnąłbym, żebyście wy bodaj raz na miesiąc wydawali taką gazetkę. I rabali w niej po kumotrach i pijakach!

— Więc może na dzisiejszej po-

zety tutejszą humoreskę; ale taka co się aż płakać z niej chce... Wie pan, ja strasznie lubię konie! Dla mnie koń — to brat, matka, ojciec! A ten Goliński... ech, krówka jego mać! Dostał dwa rasowe ogiery żeby...

Marchewka przerwał, odwrócił się i krzyknął do jednego z kolegów:

— Co mnie szturchasz! Powiem i tyle!

Niech mówi. I tak, gdy założymy gazetkę, o ogierach napiszemy w niej najpierw! Mów, Marchewka, mów! Ty to najlepiej ubierzesz! Niech pan świetlicowy wie. To nasz chłop!

Zachęcony Marchewka usiadł przy mnie i stukając od czasu do czasu palcami po stole, opowiadał:

Goliński ma opinię gospodarza nad gospodarze! W całym powiecie wielkim nie znajdziesz drugiego — krządał gądką jego kumotrów. No, nie powiem; fajny to człek i dla człeka i dla zwierzęcia. Gdy chodzi o człeka, to on taki; umowa zbiorowa dla robotników rolnych przewiduje, że pracownik resztówki może trzymać na majątku paszy krowę, za co administracja potrąca mu z wypłat 60 zł miesięcznie. Goliński od pracownika resztówki, Krzysia, nie bierze tej opłaty. Wie pan dlaczego? Bo on też ma krowę! Jeśli więc od tamtego się nie bierze — nie wypada i jemu płacić. No, panie świetlicowy; czy nie fajny to człek?

Nie zwierz ten Goliński i dla zwierzęcia. Dostał od zarządu GS

dwa rasowe ogiery aby założyć stację kopulacyjną. Nie mógł przeboleć, że dwa takie zwierzęta stały w stałej bezrobocie. Więc zaprzęgnął ogiery do harówki, a żreć dawał tyle, żeby tylko nie zdechły. Opłaca się. Na wyżywienie płacił GS. Zbywało wiele. Ale przy takim karmieniu, jakie im Goliński dawał, wszelkie ogierowe figle wylatywały zwierzętom ze łbów. A że nasze klacze nie mają rasowego potomstwa, Goliński się tym nie przejmował. Nie pozwalał, żeby w resztówce działał się jakikolwiek dżmierz.

Rasowym ogierem (i to z dowodem!) sprzykrzyło się w GS takie pieskie dziecko. Zaczęły się upominać o swoje prawa i pobrykiwać. „Ho, ho!” — krzyczał Goliński — za dobrze się moim konikom powodzi! rozpuścił im w pomyślniku!... I chociaż ogiery wyglądały, jak kociotrupy, Goliński jeszcze zmniejszał im wikt. No i ogiery przestały pobrykiwać; ale równocześnie przestały ciągnąć. Takie to bydle: bez żarcia ani rusz! A po niejakiem czasie ogiery przestały i ogonom! majdać. Zległy. Aż skóra na kościach żęgotła.

Wtedy zarząd GS odebrał zdechłego i dał na chów Kucharskiemu i Krawczykowski. Obydwa dostają za to z GS fajną forę i ogierom powodzi się n...o lepiej. Krawczykowski i Kucharskiemu też się poprawiło, bo utrzymanie zwierząt nie ich nie kosztuje, a do roboty pędzą ogiery jak diabli. Mówili mi ci chłopie, że to dobre koniska, i że figlów odechciało się im na zawsze.

W. BACHNOW I J. KOSTIUKOWSKI

O PROPAGANDZIE

Imperializm nauczył się z dawna
Głosić w swoich dziennikach,
Że w Związku Radzieckim jest propaganda
Książka, film i muzyka.
Zgodnie z rozkazem danym z New Yorku
Nawet klasyki Puszkin, Lermontow
Stanowią propagandę bezsporną.
Lecz, że kłamstwa za mało, krzyczą na grandę:
„Związek podwoił swą propagandę!”

Pisze sprzedajna pismaków melina:
„W Związku jest propaganda na każdym kroku.
Dziewczę wstążkę czerwoną przypina
Dla propagandy, a nie dla oka.
Nie wierzyć, że w Moskwie po parkach
Zakochani przechadzają się wiosną.
To propaganda. Tam żadna parka
Nie śmie wiązać się chwilą miłosną.
Wiosną na apel czerwonej stolicy
Lecą obcych ptaków girlandy,
Jesienią do ciepłej okolicy
Odlatują w celach propagandy”.

Lecz kłopot, panowie ze sprzedajnych dzienników,
Szukacie propagandy w Radzieckim Kraju.
Nie! Kanały w pustyniach, giganty-fabryki
To proste metody, które chwytają.
Propaganda — to rusztowania wielkich budowli!
Propaganda — to ogrody na mroźnym polu!
Propaganda — to praca w dumnym rozkwicie!
Wy, dżentelmeni z prasowego monopolu,
Tej propagandy nie obalicie!

Przełożył Grzegorz Timofiejew

WOJCIECH DRYGAS

HISTORIA CEMENTU I CEGŁY

W zeszłym roku na wiosnę zapobiegł Stanisław Frątczyk sprzeniewierzył się po raz pierwszy swojej zasadzie straszczącej się do słów: „Jak głowa nie pokreśli — pióro nie pomoże!” Po prostu nie pokreślił i głowa i pióro. Pióro było potrzebne do sporządzenia szczegółowego bilansu paszowego oraz wyliczenia wszystkich możliwości i rezerw, tkwiących w jego niewielkiej bo trzy i pół hektarowej gospodarce.

Kiedy zdecydował się całkowicie na pięć tuczników i dwie krowy, zaglądającą mu przez ramię żona parsknęła śmiechem:

— Jakiś, tyle gadzin? Mieliszmy przecież dotychczas dwa świniaki i laciata, i ledwośmy „toto” pomieszcili w obórce. Rozbiegali ci się, Stasiu, do pióra, o rozbiegali! Wyśkokczyłeś, jak Filip z konopi! Frątczyk obruszył się na takie gadanie i od planu postanowił nie odstępować. W odpowiedzi na podśmiechliwianą żonę przyjął nożem jeszcze jedną ćwiartkę papieru i wykalkulował:

„Ja, Stanisław Frątczyk, małorolnik z gromady Walechów, prośzę szanowne czynniki o przydział 5 tys. sztuk cegieł na rozbudowę chlewni, bo ta nasza gmina spółdzielcza nie daje. Z obowiązku wobec państwa wynajmuję się zawsze akuratnie, co mam czarno na białym powieszona nad łóżkiem w postaci dyplomu uznania”.

Kalendarz nad dostojnym biurkiem obywatelki Włodarczyk — członkini zespołu powołanego do rozdziału wśród chłopów materiałów budowlanych — wskazywał w tym dniu 12 maja.

— Upraszam się odpowiedzieć, kiedy otrzymamy decyzję? — dopytywał się Frątczyk.

Urzędniczka, zanim spróbowała otworzyć usta, machnęła niecierpliwie dlonią, tak jak się odpedza natrętnego komara.

— Decyzja będzie wtedy, jak ze spółdzielni — padł wyrok. — Następny!

Mineła szczęśliwie wiosna. Przeszło lato. Nastąpiła jesień Zapukał do okien lodowaty powiew zimy. No i co? — zapytanie. No i nic. Frątczyk nie rozszerzył hodowli. Odpowiedzi na swoje podania nie otrzymali również inni rolnicy, którzy nie raz i nie dwa jeździli do Wielunia, interweniowali, prosili. Czas płynął beztrosko — chłopcy zgrzytali zębami.

Pamiętam, jak dziś — było to w tygodniu po historycznych uchwałach IX Plenum. Do Łodzi zjechała delegacja chłopów wielunskich i udała się prosto do siedziby Wojewódzkiej Rady Narodowej. Mieli zatroskane twarze, ale stanowczość, z jaką przestapili progi biura skarg i zażaleń, mówiła, że sprawę swą potrafią doprowadzić do końca. I rzeczywiście! W kilka dni później w Wieluniu wybuchła bomba! Napęczniałe od podań biurka i szafy urzędników nie wytrzymały i pękły z hałasem. Pomogła im w tym komisja wojewódzka. Z czeluści szuflad wysypało się pięć tysięcy nie zatłuwanych podań chłopskich.

— Bardzo przepraszam! — rozdarła szaty ob. Włodarczyk, specjalistka od kalendarza. — Pomimo wszystkich trudności szereg podań zatłuwaliśmy oświadczeniem. Proszę sprawdzić!

A więc sprawdzamy! Długa wzdrowka towarzyszy nam do rozpatrzonego pozytywnie (o dźwoli) podania małorolnej Marii Cepy z Racyna.

— Cóż z tego, że rozpatrzyli? — rozłożyła beznadziejnie dlonie. — Kiedyś do przewozu przyznanej mi wreszcie cegły wynajęła specjalnie i zapłaciła wóz, przyszło nagłe zawiadomienie z gminnej spółdzielni, że cegły nie ma. Dlaczego? — pytałam. „Dlatego, bo nie ma!” — odpowiedzieli. Takie to było rozpatrzenie...

Czy jednak istotnie było brak cegły?

Ten sam Zarząd Gminnej Spółdzielni w Czastarach, który zawi-

domił Marię Cepę o braku cegieł w magazynach, nie zatuszował się lekkożylnie o odbiór przydziału, wynoszącego 105 tys. sztuk. Po prostu nie odebrał skąd było trzeba, bo się im nie chciało. Po co sobie przysparzać dodatkowych kłopotów? Po co?

Nie odbierały również przynajmniej im cegły pozostałe gminne spółdzielnie pow. wielunskiego. Przeszło 200 tys. sztuk czekało w cegielniach na chłopca. A chłop pomstował ile wlezie!

Nie lepiej jak z cegłą było z innymi, tak bardzo poszukiwanymi przez rolników artykułami budowlanymi.

PZGS w Wieluniu nie chciał przyjąć 1.700 ton cementu. Po długim namyśle i wielu monitach odebrał wreszcie, jak z łaski, tylko 1.100 ton. Dlaczego? — ciśnie się pytanie. Odpowiemy: na cemente zarabiała się minimalnie. Ledwie zwracała się koszt transportu i składowania. A w PZGS rozpanoszyła się klika, polująca na wysokie marże. Ta klika właśnie, traktująca spółdzielczę przedsiębiorstwo, jak własny folwark, nie mogła pogodzić się z faktem, że państwo przydzieli chłopom cement bez żadnego zarobku, że państwo nie pozwala zarabiać na cegle, wapnie, tarcicy... A oni przecież czynili wszystko, aby wysoko przekroczyć plan pod względem wartości i uzyskać premie. Nie dla nich był to interes grzebać się w artykułach „deficytowych”.

Stary rok 1953 Stanisław Frątczyk żegnał z uczuciem ulgi.

— Wiesz co? — powiedział do żony. — Ten nasz nowy chlew obeszerniejszy, niżem to sobie umyślił. Damy radę wyhodować siedem sztuk? Co?

Frątczykowska wzruszyła ramionami:

— A jak powiem: nie, to czy ty i tak na swoim nie postawisz? Niech tam będzie siedem!

— Tę jółwówkę dokupisz sobie w przyszłym tygodniu — ciągnął Frątczyk. — Powiedzieli mi w radzie narodowej, że kredyt państwowy trza wykorzystać jak najszybciej, co by banki się na nas nie poobrażały. Podobno bardzo są obrażone jak im coś nie zrobił na „ażur”.

Frątczykowska wzruszyła ramionami:

— A jak powiem: nie, to czy ty i tak na swoim nie postawisz? Niech tam będzie siedem!

— Tę jółwówkę dokupisz sobie w przyszłym tygodniu — ciągnął Frątczyk. — Powiedzieli mi w radzie narodowej, że kredyt państwowy trza wykorzystać jak najszybciej, co by banki się na nas nie poobrażały. Podobno bardzo są obrażone jak im coś nie zrobił na „ażur”.

Frątczykowska wzruszyła ramionami:

— A jak powiem: nie, to czy ty i tak na swoim nie postawisz? Niech tam będzie siedem!

— Tę jółwówkę dokupisz sobie w przyszłym tygodniu — ciągnął Frątczyk. — Powiedzieli mi w radzie narodowej, że kredyt państwowy trza wykorzystać jak najszybciej, co by banki się na nas nie poobrażały. Podobno bardzo są obrażone jak im coś nie zrobił na „ażur”.

Frątczykowska wzruszyła ramionami:

— A jak powiem: nie, to czy ty i tak na swoim nie postawisz? Niech tam będzie siedem!

— Tę jółwówkę dokupisz sobie w przyszłym tygodniu — ciągnął Frątczyk. — Powiedzieli mi w radzie narodowej, że kredyt państwowy trza wykorzystać jak najszybciej, co by banki się na nas nie poobrażały. Podobno bardzo są obrażone jak im coś nie zrobił na „ażur”.

Frątczykowska wzruszyła ramionami:

— A jak powiem: nie, to czy ty i tak na swoim nie postawisz? Niech tam będzie siedem!

— Tę jółwówkę dokupisz sobie w przyszłym tygodniu — ciągnął Frątczyk. — Powiedzieli mi w radzie narodowej, że kredyt państwowy trza wykorzystać jak najszybciej, co by banki się na nas nie poobrażały. Podobno bardzo są obrażone jak im coś nie zrobił na „ażur”.

Frątczykowska wzruszyła ramionami:

— A jak powiem: nie, to czy ty i tak na swoim nie postawisz? Niech tam będzie siedem!

— Tę jółwówkę dokupisz sobie w przyszłym tygodniu — ciągnął Frątczyk. — Powiedzieli mi w radzie narodowej, że kredyt państwowy trza wykorzystać jak najszybciej, co by banki się na nas nie poobrażały. Podobno bardzo są obrażone jak im coś nie zrobił na „ażur”.

Frątczykowska wzruszyła ramionami:

— A jak powiem: nie, to czy ty i tak na swoim nie postawisz? Niech tam będzie siedem!

— Tę jółwówkę dokupisz sobie w przyszłym tygodniu — ciągnął Frątczyk. — Powiedzieli mi w radzie narodowej, że kredyt państwowy trza wykorzystać jak najszybciej, co by banki się na nas nie poobrażały. Podobno bardzo są obrażone jak im coś nie zrobił na „ażur”.

Frątczykowska wzruszyła ramionami:

— A jak powiem: nie, to czy ty i tak na swoim nie postawisz? Niech tam będzie siedem!

— Tę jółwówkę dokupisz sobie w przyszłym tygodniu — ciągnął Frątczyk. — Powiedzieli mi w radzie narodowej, że kredyt państwowy trza wykorzystać jak najszybciej, co by banki się na nas nie poobrażały. Podobno bardzo są obrażone jak im coś nie zrobił na „ażur”.

Frątczykowska wzruszyła ramionami:

Wśród korespondencji

BLIŻEJ PARTII

W związku z II Zjazdem Partii zorganizowaliśmy spotkanie z byłym członkiem KPP, a obecnym członkiem PZPR.

Dzieci przygotowały się do spotkania, przysiadając do bardzo mocno, jedno ognio przygotowało recytację wiersza Broniewskiego: „Do towarzysza wzięcia”, ognio chłopów przygotowało gazetkę na temat obniżki cen, drużyna przygotowała szereg piosenek rewolucyjnych jak „Marsz kajdaniarski” i inne.

Przybyli na zbiórkę drużyny kapekowiec opowiedział młodzieży, jakie miał trudne warunki przed wojną, jak to było się uczyć, bo ojciec jego był członkiem partii, później nie dostawał pracy dlatego, że był aktywnym bojownikiem o sprawę ludu. Młodzież pytała, jak to było w tamtych czasach. Kiedy dowiedzieli się o opanowaniu członków KPP, ich wytrwałości w walce, na zbiórkę postanowili, iż z całym zapalem weźmie się do dalszej pracy w szkole.

Takie spotkania zbliżają dzieci do zrozumienia partii, zbliżają do IX Plenum, do II Zjazdu.

Naszym bohaterem drużyny jest Marceci Nowotko.

W związku z 11 rocznicą jego śmierci zorganizowała młodzież dzień Bohatera Drużyny, co też zbliża ją do partii, do zagadnień II Zjazdu. Na tę uroczystość przybyli przedstawiciele Komitetu Powiatowego, on również mówił o swoim życiu, o swoich osiągnięciach. Dzień Bohatera Drużyny dał bardzo dużo młodzieży.

Rada Drużyny postanowiła rozwinąć propagandę wśród rolników, do wstępowania do szkół rolniczych.

CECYLIA BASIAK

Skierownice, pow. łódzkie

WYKORZYSTANY STRUMIEŃ

W idziałem kiedyś na strumyku duże drewniane koło średnicy 2 metrów. Na jego skrzydłach wisiało na zawiasach 12 kubełków o pojemności litra każdy. Przy obrocie koła kubełeczki na przemian zapuszczały się w wodę i w wodzie w górę. Na najwyższym punkcie kubełeczki napotykał drewnianą rynnę; ponieważ był na ruchomych zawiasach, przechylał się i wylewał do rynny wodę.

Gospodarz, który urządził to koło, miał stawy rybne położone wyżej od poziomu strumyka. W ten sposób stało otrzymywał świeżą wodę. Była to swego rodzaju pompa wodna, nie poza urządzeniem nie kosztująca.

W obrębie mojego gospodarstwa położonego w odległości 300 m od Narwi w pow. ostrołęckim, również przebiega strumyk. Ponieważ gospodarstwo ma grunty I i II klasy (niezależnie od klasy), postanowiłem je nawodnić. Zagroziłem więc strumyk i skierowałem go dawniejszym wyschniętym korytem, gdyż przechodzi ono przez środek moich łąk i pastwisk, które były stanowiąc za suche.

Poprzednie koryto strumyka nie miało, gdyż przechodziło obok łąk. W pobliżu Narwi strumyk zatrzymał. Spłutrzona woda zaczęła się rozlewać po pastwiskach. Znajdując się tu sporo naturalnych kotlin i rowów strzeżek (pozostałości wojny) o 30—40 metrach. Z tych zbiorników przesiąkała wilgoć, która była dla całego pastwiska. Rezultat? Trawa, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zazieleniła się a jej kolor zmienił się z jasnozielonego na ciemnozielony.

W naturalnych kotlinach potworzyły się poza tym stawki, w których pokazywały się ryby, gdyż struga wpadała do Narwi, a ryby lubią się pod prąd na płytkiej wodzie. Gdy widzę, że trawa ma dosyć wody, podnoszę zastawę, poziom wody się obniża, ale w kotlinach woda pozostaje i ryby mogą w nich żyć.

Na przyszły rok myślę urządzić małą turbinkę, aby mieć elektryczność swiatła i ewentualnie moc za pomocą siły wodnej rzinąć sieć i młócić.

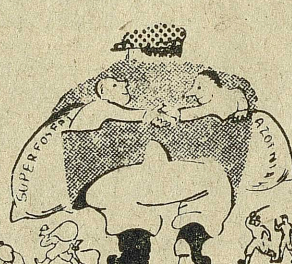
W Polsce dużo jest strumyków, których siła wodna nie jest wykorzystana. A szkoda! Bo w skali ogólnopolskiej byłaby to siła kilku milionów koni mechanicznych, służących podniesieniu rolnictwa.

ALEKSANDER KŁYSZ

kol. Czeszotka, pow. Ostrołęka

Gazetka gminna

Polityka nawozowa



Do niedawna jeszcze szanowni obywatele Tadeusz Dudka, przebiegający Jodlowej i Władysław Urban, przewoźnicy PGRN, uznawani byli za całkiem przeciętnych aktywistów. Owszem, powiedzieli nie można, w przydatkach chętnie zasiadali, a jeżeli chodzi o głoszenie niektórych przedstawicieli powiatu — nawet przodują. Ale za to w takich sprawach, jak np. skup, czy kon. traktacja nie tędy.

Ponad przeciętność wynieśli się dopiero w momencie, kiedy składy Gminnej Spółdzielni wypełniły się nawozami. Jak Jodłowa Jodłowa jeszcze takiego rozdziału nie było.

Można, ogólnie rzecz biorąc, powiedzieć, że rozdział nawozów przeprowadził obaj „aktywiści” w sposób dość polityczny. Lecz wróćmy do szczegółów.

Pierwsza rzecz, żeby aktyw przodował w skupie i kontraktacji, no, a aktyw to przecie my — zdanie to wypowiedziane zgodnie przez Dudkę i Urbana oznaczało w praktyce tyle, że jeden przydzielił drugiemu porcję nawozu, mniej więcej 10 razy większą niż przypuszczali chłopcy.

Druga rzecz — zmusić kulaków do tego, żeby oszczędzili wyszkolonej, dać draniom tyle nawozów, żeby z zaniecia siedli. Zbiórka dużo to i na skup coś niecoś odpada. Nie tak jak tego roku.

Polityka nawozowa Dudki i Urbana miała też wadę, że „sztuczność” popoił. dla materialnych nie starczyło. Małorolnia z Jodłowej miała za to zaletę, że sobie nie dała w kaszę dmuhać. Dmuhała tedy w palce obaj „aktywiści”. Tak się na tych nawozach poparzyli.

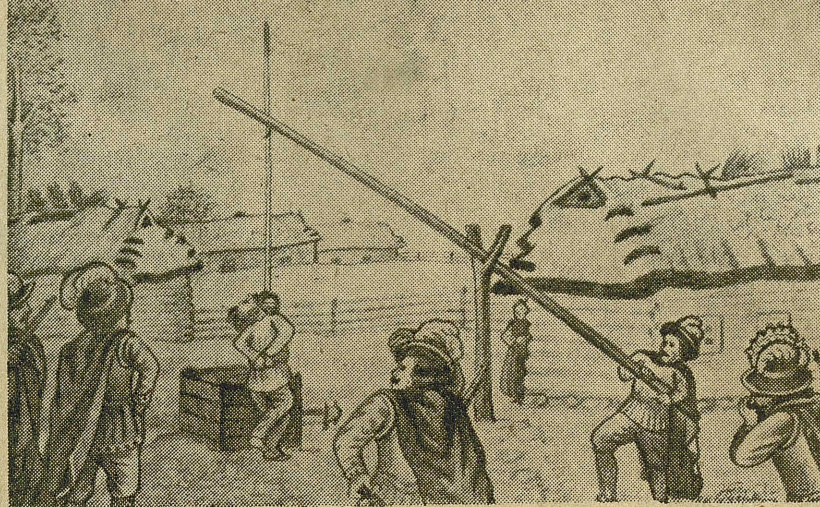
JOZEF KOSELAZ

(Na podstawie listu ob. Magdaleny Marceinek z Jodłowej).

RYSUNKI LUDOWYCH ARTYSTÓW

Zaczęło się bardzo prosto... Tymofiej Tichonuk z Rolniczego Zespołu Spółdzielczego Kołty, gm. Hajnówka, pow. Bielsk Podl., przeczytał książkę Wł. Rymkiewicza „Rycerze i ciury”, i zapragnął narysować, co to w książce zrobiło na nim najlepsze wrażenie. Tak powstały dwa pierwsze rysunki sceny sądu nad chłopami, Swoimi rysunkami udzielił się ludowy artysta do głosów dyskusyjnych nauczycieli, mówiących o książce Rymkiewicza.

A potem narysował Tichonuk jeszcze kilka obrazków dalszych scen z „Rycerzy i ciurów”. Zamieszczamy je poniżej w tym celu, aby zachęcić naszych ludowych artystów do rysowania, do pokazywania, jak rozumieją i odczuwają czytane książki.



Każdą pańszczyźnianego chłopca



Huraganowy atak polskiej konnicy



W obozie pod Ujściem.

Upowszechnia czytelnictwo

Gdzie diabeł nie może, tam baba posyła. Głęboki sens tego ludowego przysłowia odkryli nie tak dawno zrozpaczeni chłopcy z gromady Kośmider, leżące w gminie Pawowice, pow. Lubliński.

Mówiąc rzetelnie sprawy miały się tak, że kierownictwo Urzędu Pocztowego w Pawonkowie objęła kobieta, która też z miejsca postawiła przed listonoszami problem walki o masowe czytelnictwo. Rzecz to w Pawonkowie bynajmniej nie nowa, już bowiem jej poprzednicy próbowali sukcesów na tym polu. Ostatecznie przecież już rok temu wprowadzono znakomite usprawnienie w doręczaniu prasy, polegające na wytknięciu gazet w dziury płotów. Czynili to listonosze osobiście, licząc na pewien „moment psychologiczny”. Ot — patrzy chłop i oczom nie wierzy. Była dziura, a teraz jej nie ma! Zainteresuje się czym zakana, weźmie gazetę i przeczyta.

Ale ludzie, jak to ludzie, akcją tej nie zrozumieli i trzeba było robotę z gruntu przestawić na inne tory. I tu dopiero pokazała nowa kierowniczka, co potrafi. Zorganizowała mianowicie tak zwane „dwutygodniówki czytelnictwa”.

JERZY WALASZCZYK

(Na podstawie listu Jana Świątego z Kośmider).

Aktywne cielecia

Trzeba powiedzieć, że soty, jego zastępcą z gromady Czarna Góra, kilku urzędników z GS i radnych — mają ostatnio pełną rękę roboty. Stale się tak za sprawą cielecia ob. Myski.

Cielecia strzeliło coś do głowy, że tuż przed zniwami 1951 roku weszło w szkołę „dwutygodniówki czytelnictwa”.

Trzeba powiedzieć, że soty, jego zastępcą z gromady Czarna Góra, kilku urzędników z GS i radnych — mają ostatnio pełną rękę roboty. Stale się tak za sprawą cielecia ob. Myski.

Cielecia strzeliło coś do głowy, że tuż przed zniwami 1951 roku weszło w szkołę „dwutygodniówki czytelnictwa”.

Trzeba powiedzieć, że soty, jego zastępcą z gromady Czarna Góra, kilku urzędników z GS i radnych — mają ostatnio pełną rękę roboty. Stale się tak za sprawą cielecia ob. Myski.

Cielecia strzeliło coś do głowy, że tuż przed zniwami 1951 roku weszło w szkołę „dwutygodniówki czytelnictwa”.

Trzeba powiedzieć, że soty, jego zastępcą z gromady Czarna Góra, kilku urzędników z GS i radnych — mają ostatnio pełną rękę roboty. Stale się tak za sprawą cielecia ob. Myski.

Cielecia strzeliło coś do głowy, że tuż przed zniwami 1951 roku weszło w szkołę „dwutygodniówki czytelnictwa”.

Trzeba powiedzieć, że soty, jego zastępcą z gromady Czarna Góra, kilku urzędników z GS i radnych — mają ostatnio pełną rękę roboty. Stale się tak za sprawą cielecia ob. Myski.

Cielecia strzeliło coś do głowy, że tuż przed zniwami 1951 roku weszło w szkołę „dwutygodniówki czytelnictwa”.

Trzeba powiedzieć, że soty, jego zastępcą z gromady Czarna Góra, kilku urzędników z GS i radnych — mają ostatnio pełną rękę roboty. Stale się tak za sprawą cielecia ob. Myski.

KRONIKA KULTURALNA

W ubiegłym roku Teatr Wiejski Ziemi Łódzkiej odwiedził 140 indywidualnych gromad, spółdzielni produkcyjnych i PGR w województwie łódzkim, dając 174 przedstawienia; oglądało je ponad 45 tys. widzów wiejskich.

Chłopi z uznaniem wyrażają się o swoim teatrze. Świadczą o tym przepelnione sale w czasie występów, dyskusje po przedstawieniach i nadchodzące do zespołu listy z prośbą o częstsze odwiedziny przez teatr poszczególnych gromad.

Śluszną i bardzo podaną była inicjatywa stworzenia stałego objazdowego, zawodowego teatru wiejskiego dla spriężonej kulturalnej rozrywki — wsi. I dobrze byłoby, aby podobne teatry wiejskie powstały w innych województwach.

W roku bieżącym z inicjatywy pracującego z zapalem zespołu aktorskiego i technicznego teatru powstają dwa samodzielne zespoły, które będą wystawiały jednocześnie dwie sztuki w różnych stronach województwa.

W tym celu znacznie rozszerzono plany repertuarowe. W ciągu roku teatr wystawi 5 premier, m. in.: „Sprawę rodzinna” Lutowskiego, „Świętoszka” Moliera, „Młodość ojców” Gorbatawa i inne. Zespół zobowiązał się także dwukrotnie zwiększyć ilość przedstawień w stosunku do roku ubiegłego.

Okres długich zimowych wieczorów sprzyja szczególnie rozwojowi pracy świetlicowej. Chłopi mają więcej czasu na kulturalną rozrywkę, czytanie itp.

Świetlica gminna w Czarnej (pow. Dębica) na okres jesieni i zimy zwróciła szczególną uwagę, aby wykorzystać go umiejętnie i pożytecznie. Nie darmo zaślubiła sobie na miano przodującej. Szczególnie dobrze w swej pracy łączy ona zagadnienia kulturalno-oświatowe z gospodarczymi. W okresie skupowej batalii obowiązkowym dostawom poświęcone były gazetki ścienne, błyskawice redagowane przez zespół redakcyjny. Świetlica organizowała pogadanki uświadamiające poświęcone skupowi, prowadziła tablicę współzawodnictwa itp. Obecnie urządza cotygodniowe spotkania z chłopami przodującymi w hodowli bydła i w produkcji okopowych.

W świetlicy przerabiała się także statystyka spółdzielni produkcyjnych, przeprowadza zespołowe czytanie książek rolniczych itp. Szczególną popularnością cieszą się wśród starszych i młodzieży wykłady instruktora rolnego.

Pracując także zorganizowane przez świetlicę kursy gotowania, kroju i szycia oraz pisania na maszynie; uczęszcza na nie wiele kobiet i młodzieży nawet z okolicznych gromad. Świetlica spełnia rolę ośrodka instrukcyjno-metodycznego w stosunku do świetlic gromadzkich, ich zarządy są bardzo często zapraszane na zajęcia praktyczne.

— ob. an. g. w. —

W roku bieżącym wieś polska otrzymała 635 nowoutworzonych szkół 7-klasowych.

Mamy więc obecnie w kraju 13.672 szkoły 7-klasowe, czyli trzykrotnie więcej niż przed 1939 rokiem. W szkołach tych uczy się 87,3% ogółu dzieci w wieku szkolnym. Reszta uczęszcza jeszcze do szkół o niższym stopniu organizacyjnym.

W Polsce sanacyjnej z powodu braku szkół — szczególnie na wsi — co roku około miliona dzieci w wieku szkolnym nie mogło uczęszczać do szkoły. Do szkół 7-klasowych uczęszczało zaledwie 45%, a na wsi tylko 27% ogółu uczniów.

Obecnie szczególnie wiele zorganizowano szkół 7-klasowych w województwach najbardziej biednych zaniedbanych gospodarczo i kulturalnie. W woj. lubelskim w roku ubiegłym powstały 84 nowe szkoły 7-klasowe.

Poważnie wzrosła także sieć 7-klasowej szkolnictwa na Ziemiach Odzyskanych, gdzie w roku ubiegłym zorganizowano 181 szkół 7-klasowych.

—

Świetlicowcy! Zakończcie się I ogólnopolski konkurs recytatorski. Zgromadził on 60 tysięcy recytatorów ze wszystkich województw, w tym poważną ilość recytatorów wiejskich. Konkurs, mimo licznych niedociągłości organizacyjnych, wykazał bardzo wysoki poziom wielu recytatorów, wzbudził duże zainteresowanie wśród młodzieży i wśród starszego społeczeństwa. Zainteresowanie to świadczy o potrzebie dalszego rozwoju i popularyzacji pięknego kunsztu recytatorskiego, spełniającego olbrzymią rolę w propagandzie czytelnictwa i w rozbudowaniu umiłowania języka i literatury ojczystej. Jesteśmy u progu zbliżającego się Roku Mickiewicza i wielkich obchodów X-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. O tym powinny pamiętać nasze wiejskie domy kultury, świetlice, biblioteki, cały nasz aktyw kulturalno-oświatowy.

—

Pomorskie zespoły „Artos” coraz lepiej i szerzej działają w terenie, docierając do bardzo odległych od centrów kulturalnych wsi i miasteczek — na terenie województwa pomorskiego, niosąc spragnionej publiczności kulturalną rozrywkę. W roku ubiegłym pomorski „Artos” dał ponad 600 imprez, które obejrzało ponad 220 tysięcy widzów. Liczyby te świadczy o ogromnym działaniu artosowskich zespołów na Pomorzu. Na podkreślenie zasługują także różnorodność zespołów i form działalności ekip „Artos”; w ich skład wchodziły zespoły teatralne, ekipy estradowe, grupy operetkowe, operowe itp. W roku bieżącym pomorski „Artos” będzie się starał dotrzeć ze swymi występami do jeszcze większej ilości gromad, z coraz lepszym, bardziej z życiem terenu związanym programem imprez.

—

Do artykułu „Pomoc dla wsi” zamieszczonego w Nr 1 (439) „Wsi” wkładli błąd. Acapit drugi tego artykułu powinien rozpocząć się od słów: „W roku 1954 sprowadzimy z zagranicy około 2.300 ton nasion roślin pastewnych”.

SPROSTOWANIE